29

Nr. 29 (1643). Warszawa, 20 lipca 1912 r. Rok XXXII

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Włodzimierska 5 Telefon 73-80

№ niniejszy poświęcamy twórczości Stefana Żeromskiego na tle „Urody Życia".

*Redakcja.*

## Ostatni Prometeida.

Od wieku prawie, od czasu jak ze wszech stron spiętrzone wały fal dziejowych runęły na naród, „wmięsiły go w swe głębiny", wparły w muły i denne bagna i dotąd przewalają się po nad nim, od wieków z najmroczniejszych głębin bluzga w rozpostarte nad niemi rozlewiska krwawy serdeczny szloch do przestworzy podniebnych, rwie się po przez topiele rozpaczliwe pożądanie możliwości oddechu, prze myśl ku życie dającemu słońcu. Od wieku wre praca serc i mózgów, by ten, co jako topielec w toniach się waży, mógł na roztocza wodne wyhynąć, ożywczy prąd powietrza w nawpół zmartwiałe płuca zachwycić i, spóźniony rozbitek-pływak, do osady społeczeństw-argonautów po złote runo jutra ludzkości żeglujących się przyłączyć.

W nieruchomości energji utajonej, potencjalnej, niewidocznej napozór a niezniszczalnej spoczywa naród. Najszlachetniejsze jego składniki wysiłem jestestw swych się prężą, by to co bezwładne, nieruchome w kinetyczne zamienić, by w tym co li trwa, ruch życia obudzić.

Od wieku padają słowa — inwokacje: stań się! — — stań się narodzie zdolnym do życia, jako są inne, — lecz stań się tego życia żądnym a godnym; minęły dawno czasy, gdy z głębin niebios schodził Prometeusz, by wbrew woli Zeusa, nieść święty życiotwórczy ogień biednej, nędznej, ludzkości; zmarł Prometeusz, lecz, iż czyn jego potrzebny jest tobie, przeto ci go tworzymy, — — z najserdeczniejszego, z krwawego ukochania twej nędzy, z najpręźniejszych lotów myśli naszej tworzymy dla cię tytanów, ogień im w dłonie kładąc, ci są wcieleniem tęsknot naszych, ci są wybawiciele twoi, ci są Prometeidzi, w — ich ślady idź!

I pod straszliwymi ciśnieniami twórczej woli krystalizowały się zjawy, w granit ścinały postacie bohaterów-herosów narodowych. Jedni grążyć się mieli w dusz głębie jak nurkowie, z nich perłę bezcenną, świadomość społeczną wyrwać; jedni stać mieli jak na pustyni przed Izraelem kolumny powietrzne, ciemni w dzień a płomienni w „długie narodowe noce"; inni zaś jak kamienie przydrożne, szlak w przyszłość znaczyć mieli, etapy mierzyć.

Mickiewiczowski Konrad Walenrod, Gustaw-Konrad z „Dziadów"; Juljuszowy Kordjan, Anhelli ekspjacyjny, metampsychiczny Król-Duch, Zygmuntowy Irydjon, nieznany dotąd ogółowi, Norwidowski Tyrtej, — oto plejada największych Prometeidów, jakie dla narodu poczęła twórcza moc jego najdostojniejszych synów.

Tak trwało przez pierwsze pół wieku, w późniejszych dziesiątkach lat przejawy ducha jakby osłabły; on, tak płodny w swe „słowa" zrazu za istnienia naszej wielkiej „romantycznej" czworcy, pod koniec wieku dziewiętnastego zamknął zda się swe usta dla ożywczych wyroczných orzeczeń. Nadszedł okres, że skarlał ród Prometeidów. Ginąc wraz z wielką poezją odżył na krótko i epigonicznie, w kształty pomickiewiczowskiego Konrada się wcielił i w dalekimi antycznymi echami Norwida tętniąca kreację Odyssa u Wyspiańskiego. I to jest poromantyczna pieśń łabędzia.

Aliści, jak nie przestały nad narodem ciężyć brzemiona przyczyn złegle nań od wieku, tak i skutki ich w ewangelji — szuce wyłamać się nie mogły z musu procesów dziejowych.

Ustawało życie wielkiej poezji, podążała na jej zmianę proza. Szara zrazu, zwykła jak codzienność, słaba w swych przejawach, powstawała proza polska w drugiej połowie XIX wieku w powieści; szarzy, zwykli codzienni, ludzcy bohaterowie byli jej bytem, skala między bo-

haterem powieściowym a zwykłym człowiekiem widniała niewielka. W miarę dopiero jak poczyna szczytnieć proza, bohaterowie jej przetwarzać się poczynają w zalążki jestestw innych: w nowym twórczym nurcie, w nowej jego formie właściwie, rozpoczyna się metampsychoza ducha. Linja tej formy bieży łukiem wwyż, tworzy się proza, rzekłbym uskrzydlona, proza podejmująca zadania i cele zeszłej wielkiej poezji, proza, grunt pod którą przygotowali pisarze końca dziewiętnastego wieku, a t. z. „Młoda Polska" siew pod obecnie wschodzące zbiory rzuciła. Proza ta zenit swego rozwoju osiągła w utworach Stefana Żeromskiego i na taką pełnię składa się z zeszłą wielką poezją, z jaką dodatni i ujemny prąd elektryczny na iskrę się składa. W rezultacie więc w nowej tej formie powinna była odżyć główna cecha myśli wiekowej twórczej, powinien był regenerować ród Prometeidów. I rzeczywiście.

Na podłożu takiegoż samego najkrwawszego ukochania narodu, jaki istniał w zmarłych wielkich twórcach, a wre obecnie w autorze „Popiołów", na poziom tejże możliwości: analogicznej skali artyzmu, z tegoż samego od wieku w położeniu narodem niezmienionego prawie stanu, — rodzi się w ostatnim dziele Żeromskiego w „Urodzie Życia" ostatni Prometeida polski, praprawnuk Konrada Wallenroda — Piotr Rozłucki.

Narodziny Piotra wypływają z tak logicznych, konsekwencji i w rozwoju piśmiennictwa naszego i w twórczej ewolucji samego Żeromskiego, jak niemal rezultat matematycznej formuły.

Nigdy bo dotąd powyższe cechy istotę twórczości Żeromskiego stanowiące nie doszły takich szczytów i tak wysoce harmonijnego napięcia jak w „Urodzie Życia", — naturalne więc, że z podłoża takiego tylko zespołu wyrość mogła kategoryczna kreacja Prometeidy, koncepcja korzeniami tkwiąca już w poprzednich utworach pisarza. Jeno że z bohaterów — ludzi, wyrasta bohater-heros.

Syn Rymwida rozstrzelanego ongi, ma Piotr Rozłucki w sobie dostojne cechy Judyma i Czarowica, Janka w Oleju i Sułkowskiego, Cedry i Żółkiewskiego, jeno dewizę tego bractwa: „my, którzy nie uchodzim", na: „ja, który przychodzę" zmienia. Nim się jednak atawizmów wyzbędzie zgoła, przechodzi sam analogiczną ewolucyjną drogę z powieściowego typu na symbol „nagiego człowieka", na herosa.

Droga to długa, pąt ducha trudów krwawych, nieznany dotąd w formie powieściowej, staczający się po wązkich gzymsach instyktu w pomrocznej dziedziczności parowy, droga rwąca się w wyże psychicznych wyolbrzymień po przez szczele skaliste, dla normalnych artystycznych organizacji nieprzebyte, poprzez ziejące paszcze przepaści, gdzie kosystencję bohatera z jednego brzegu ludzkiego na drugi tytaniczny, tylko wyjątkowa twórczość nie uroniwszy w pędzie skrzydlatym przenieść może.

Drogę tą przebyć musi Piotr Rozłucki zanim się Ulissesem stanie.

Umysł mocny, zwarty, do celu pędny, zdobywczy, otaczany atmosferą kultury rosyjskiej i wojskowego rygoru, nie zdający sobie sprawy z sił w głębi łożyska ducha własnego skrytych, — przyjeżdża syn Rymwida jako oficer rosyjski do Polski uprzedzony do niej nawet wrogo. Kraj zrazu uderza go li swą odmiennością, „szarością jakąś", a mieszkańcy „zimnem i nienawiścią".

W. Rzymowski.

# STRASZLIWY SĘDZIA.

(STEFAN ŻEROMSKI W „URODZIE ŻYCIA".)

> Żaden bo śpiewak co na chmurze stoi, —
> Choćby żaglowym skrzydłem wiał Anioła, —
> Nie zrzuca z niebios prawd.. lecz o nie woła!
>
> *Norwid.*

Czy to przypadek, czy jakaś głębsza siła fatalna, czy wreszcie wspólność tragicznego losu wiedzie, po nad przepaściami, tą samą ścieżką, kroki dwóch różnych poetów?

Bohater mistycznej epopei Słowackiego narodził się z krwi i z popiołów. Król-Duch dziejów polskich błysnął jak żagiew zemsty, powstając do życia z łuny gorejących stosów, gdzie płonęły trupy wymordowanego narodu. Tego narodu jęk pośmiertny wchłonął on w pierś swoją na wieki. Z rozpaczy grobów rosła jego moc, jak piorun tocząc się przez pokolenia. Z popiołów powstało słońce życia!..

Minęło lat siedmdziesiąt, i poraz wtóry zatoczyła poezja śmiertelne koło swe nad mogiłami. Jak Słowacki niegdyś, tak dzisiaj Żeromski pochodnię życia zapala od pogrzebowego stosu. Kości poległych, niby „zastygły w ziemi krzyk", wołają do jego duszy, tajemne z niej wydzierając przysięgi.

— *Polska!* — szepnął bezwiednie na widok pól nadwiślańskich, zaciągniętych zbożami, Piotr Rozłucki, oficer artylerzysta. Na ustach jego zabrzmiał wyraz obcy, ale pod brzmieniem cudzoziemskim tailo się uczucie swojskie, rodzime. Tailo się jednak dopiero jako siła głucha i nieokreślona, jako ślepy bez kierunku żywioł.

Polska? — myślał, a raczej bił się z myślami oficer: — Jest-że Polska jeszcze na świecie? Żyje jeszcze? Tu oto na ziemi tej była. Te oto może drzewa pomną jeszcze łopot jej rycerskich chorągwi?... Ale czyliż który tam z własnych jéj synów nie krzyknął: „Skończona"? Odtąd, próżno jej na mapie szukać. Próżno jej szukać po całym świecie. Lecz jeśli nie umarła, jeśli jest naprawdę, któż do niej wskaże mi drogę? Kto wskaże mi jej serce bijące, abym przekonał się, że żyje?

Tak pyta Piotr Rozłucki; w palącej męczarni poszukiwań wielekroć powtarza swe beznadziejne pytanie: nikt z żywych odpowiedzi mu dać nie może.

Tajemnicę żywota Polski wyjawia mu dople-

Piotr poznaje się z rodziną, poczyna rozglądać po otoczeniu, czuje się intruzem. Pierwszy szelest „gąszcza wspomnień wymykających się pamięci", zadrgał w młodym poruczniku poruszony falami pleśni, „nie rozumiał słów, ale melodja wniosła te słowa do jego uszu", potem napłynęło pierwsze drgnienie sympatji względem krewnych, a pierwszą wyrwę w jednolitości dotychczasowego światopoglądu wyłamało opowiadanie dziada o rozstrzelaniu ojca. Zaraz po niem jak grom po błyskawicy, rozwarła się w przepaść w życiu porucznika; w przepaść tę wpadł duch jego po bytności na zapomnianej mogile ojca. I oto z jednej strony odsuwać się poczęła krawędź przeszłości, z drugiej wyżył się stromy nieznany brzeg przyszłego polskiego bytu; w głębi rozpadliny majaczyły ciemne. I odtąd rozpoczyna się mozolna praca ducha. Piotr czuje, że wstecz mu się nie cofnąć, ale ni spadać w głąb nie zamierza ni o przeciwległej myśli krawędzi; zahacza się sercem jako krzew na wiszarze rosnący o miłość dla pięknej rosjanki Tatjany, — lecz ciężar własny ściąga go coraz bardziej w dół, życie polskie poczyna go powoli wsysać, w coraz niższe swe płaszczowiny grążyć. Ima się tedy pierwszy do dzieła język polski, „wciska się do świadomości Piotra i przylega do pamięci wszystkiemi szczelinami, porami, czepia się myśli i otacza ze wszystkich stron" i tak wiedze swą pracę, póki sam wreszcie w mózgu miejsca myślowej formy nie zajmie. Przychodzi potem kolej oddziaływania polskiego środowiska, zrazu uczniów-sąsiadów, potem rodzeństwa, zwłaszcza stryja Michała, potym ludności, wreszcie krajobrazu i samego kraju nędznego bytowania. Piotr szarpnięciem próbuje odwrotu, obalić chce krzyż na mogile ojca, aliści ten odruch wykazuje, że niema już drogi wstecz.

Odtąd już nie życie w Piotra, lecz Piotr sam poczyna wsiąkać w polskie życie, wgłębiać się weń: zrazu, jako mimowolny świadek posiedzeń samokształcenia się uczniów na strychu, obeznawać się poczyna z nieznanymi mu dotąd przejawami polskości; później książki dozorowi jego przez uczniów wwierzone dopełniają miary. I oto Piotr już „polubił połamanych mieczów polskich szczęk o zardzewiałe pochwy... począł wmyślać się cierpliwie w klęski dalekie — dalekie, — głęboki dla nich poczuł szacunek i żal". I tu kończyłby się proces powrotnej do narodu drogi dla zwykłego powieściowego bohatera, tu zszedłby on na dno ducha polskości. I Piotr luby pozostał, gdyby nie miał wyrość nad zwykłego bohatera. Lecz dla Rozluckiego tu się poczyna kalwarja. W serce uderza go cios. Żeromski zakochuje Tatjanę w Piotrze, roztagwia ich obopólnym miłowaniem tak wielkim, tak zachłannym, jakie tylko jego artyzm wywołać potrafi, i w najzawrotniejszym szale upojeń, odziera nagle umiłowaną przed oczyma kochanka z wartości głębszych, mało tego, przeciwstawia ją nowemu życiu Piotra, — polskości. Cios będący w stanie złamać zupełnie zwykłego powieściowego bohatera. Piotrowi zaś nie pójść naprzód w życie Polski nie zdruzgotawszy miłości przegrodą mu stojącej na drodze. Poczyna się walka, walka straszna, w której człowiek tytanieje bólem. Piotr zmaga się z sobą w męce coraz sroższej, aż wreszcie duch ojca wspomaga syna: wykopany kościec Rymwida tchnie ducha zmarłej Polski w Piotra i ku „pracy bezgranicznej" moc daje. Miłość do Tatjany i przeszłość mło-

---

ro grób. Niska, zaklęsła, rozmyta mogiła powstańcza pasuje go na polskiego rycerza władzą, jaką tylko królom dawnym przysługiwała. Snadź cząstka królewskiego śpi w niej dostojeństwa. Zwieszone nad nią próchno krzyża jest jak berło królewskie spróchniałe. Dziś berła te lasom szumiącym panują, bo uszy człowieka głuchsze się stały od leśnych drżących konarów; bory zielone, cmentarze dawnych pobojowisk, tworzą dzisiaj jedyny chram polskości; u dróg rozstajnych, gdzie śpią zapomniane mogiły, wznoszą się jedyne jej ołtarze. Żeromski drwi niekiedy z ludzi niemiłosiernie; ale dla drzew zawsze ma serce tkliwe i współczujące. Śród ludzi nieraz rozpacza i przeklina: z drzewami wespół modlić się przychodzi zawsze cichy i spokojny. Z głębiną leśną, z echem puszcz, w pomroczu nocy skrytych, braterskimi słowy rozmawia jego dusza. W najskrytszych nocach z powiewu liści rozróżnia sypki szelest wici brzozowych od gwaru dębów i żałosnego szumienia sosen. Mowa ludzka uderza często o jego uszy hurkotem dzikiej napaści; ale mowa drzew wstępuje zawsze w nie melodją przecudowną i jak rosa rzeźwiąca spływa w tęsknotę duszy. [1])

Jakież niosą mu one w swej mowie tajemnicze zaklęcia. Jakie odsłaniają mu znaki? Czy są tylko radosnym objawem elementarnego życia przyrody? Czy też łowi on w ich głosie rzecz głębszą i bliższą sercu swemu: poglos ziemi ojczystej, żywy plon jej stuletniej męki, spowiedź krwi i łez, niemo wsiąkających w brózdy, aby potym z wilgotnego mroku wznieść się w błękit burzą rośliinnego życia i w harfie liści rozszumieć legendą dziejową? Wsłuchajmy się, wczujmy się w te E c h a L e ś n e, które w duszy Żeromskiego grają tak bujnie i tak rozlegle! Słyszycie? Zali się w nich pieśń cmentarna, każde drzewo w Polsce nad czyjąś rośnie mogiłą. Ale jednocześnie rozbrzmiewa w nich rapsod rycerski; albowiem drzewa te opiewają chwałę poległych. S z u m i ą s m u t n i e, g d y ż s ą ś w i a d k a m i k l ę s k i, l e c z p o w a g a ś w i ą t y ń j e o b l e k a, b o w i e m

[1]) Zasługuje na uwagę charakterystyczny w tym względzie szczegół: gdy Piotr Rozlucki, jadąc przez las, napotyka po raz pierwszy grób ojca, autor miast stanu duszy swego bohatera podaje opis brzozy i cmentarnego krzyża, jako znaków głębokiej treści duchowej. W ten sposób służą Żeromskiemu drzewa i wogóle krajobrazy za narzędzia muzyczne do wydobycia tonów bezpośrednio nieujętych, lub na innej być może drodze zgoła niepodobnych do oddania.

doclana zginąć musi. „Borykaniem się ze sobą, męczarnią mocniejszą niż siły fizyczne człowieka... Piotr zdobył przecie jedną władzę, — wyżął, wycisnął i wydusił z cierpień jedną potęgę: szlachetną, zaiste świętą dumę“. Katastrofę przyspiesza wypadek. Piotr ujmuje się za jakąś nieznajomą Polką, rąbie się w jej obronie z oficerami kolegami, zrywa z Tatjaną, czym doprowadza ją do samobójstwa i sypie ziemię na trumnę ukochanej — — — a wówczas „uścisnęła mocno jego dłoń zimna glina... uczuł nieomylnie, że to ojciec z ziemią złączony, — ziemią doń przyszedł i z ziemi tej oddał mu pomocny uścisk ducha“.

Obiit Gustavus, natus est Conradus

I odtąd już, z przepaścistego dna swego życia piąć się poczyna Piotr ku drugiej krawędzi, ku wyżom polskości, by na nich stanąwszy po męczarnych trudach lat mnogich, pójść wyżej jeszcze, wzbić się w niebo ideału sprawy narodowej i w nim jako widomy symbol stanąć. Prze linja od Piotra do Ulissesa, od wyolbrzymionego bólem człowieka do tytanicznego herosa, do Prometeidy.

Drogą tej linji wznosząc się po zboczu, prowadzi Żeromski Piotra przez przekroje pokładów w życiu polskim, jak ongi Virgiliusz Danta po kręgach piekielnych. „Po tym jednem prawdziwem bogactwie polskiego plemienia — jego nędzy“, po zatęchłych bajorach, po wertepach, gdzie „zdesperowani ludzie budują po nocy wilcze doły, żeby nad ranem w nie wpaść, albo przez nieopatrzność w rzeczach walki i porażki wtrącić innych“, — dąży mozolnie Rozłucki wchłaniając w ducha ból miljonów, zalewy rozpaczne zgłębiając myślą serdeczną, „by wypalić w niej twardą, cel swój znającą wolę... a wolą tą niby stalowym narzędziem urobić wolę tego ludu, wiernego swej idei“. Przepełnia Żeromski duszę Piotra starganymi strzępami dzisiejszego bytowania narodowego, obrazami Polski branymi nie „tęczą zachwytu“, lecz twardą prozą rzeczywistości, — a oświetla je ironją gaszona łzami, barwi je, mimo pozorny sarkazm lub humor rubaszny, krew umiłowania ich niedoli.

Zwinięte w kłębek, jak obżarte koty, senne dwory półtoraszlachty; sylwety magnaterji wyzbytej wszelkich altruizmów, nie przebierającej za to w środkach dla osiągnięcia osobistych celów; rozpaczna dola „opornego ludu“, jego wierzenia zaległe w leśnych kryjówkach, jego „brud izb mieszkalnych i wynikające zeń choroby“, jego „niezmierna ciemnota umysłowa, z której niby z zatrutego źródła, wszelkie zło płynie“; kapłani — karciarze, opilcy, obżartuchy i rozpustnicy, głoszący cnoty ewangieliczne a wyciągający ostatni grosz z sakiewki wieśniaka; ciężkie mozoły „ludzi samotnych“, wegetacje jestestw „o mądrych myślach i robaczywem sercu“; pracownicy „wchodzący do obcego pieca i umiejący wydobywać nie jeden skarb, któryby ogień bezżałosny strawił“; potajemne prawie przez „gazetki“ sączące się strumyczki światła o „świecie“ do ciemnych, zabitych deskami kątów, — wszystko to zapadało w duszę Piotra, wszystko to wchłaniała ona pożądliwie w siebie. Rozłucki coraz bezpośredniej wyczuwał, że pod powłoką całą w bliznach i sączącymi się jeszcze ranami pokrytą, nieruchoma śpi potęga życia w bezładzie swym wyczekująca.

I cały ten szmat kuli ziemskiej, im bardziej dane było Piotrowi wmyślać się weń i wnikać, — przemawiać doń poczynał mową głębszą niżli gwara chowają w sobie relikwje odkupie-[illegible]

Czy pamiętacie brzozę płaczącą nad mogiłą Jana Rozłuckiego? Daremne, zresztą, pytanie. Brzozy tej można nieznać; zapomnieć — niepodobna! Ma ona oblicze wyrazistsze od niejednej postaci ludzkiej; duszę — od niejednej duszy ludzkiej bogatszą. Cóż dziwnego? Człowiek, w myśli Żeromskiego, streszcza nieraz ubogi tylko zasób swych doświadczeń. Drzewo — streszcza heroizm pokolenia. Czy nie jak kapłanka stoi brzoza owa w głowach trumny rycerskiej? Czyli nie jak ofiarnica, wieszcze spełniająca misterium? Zali nie ona to żalem tak mocnym, jak wołanie śmierci, uderzyła w serce syna i, gdy mijać chciał mogiłę ojcowską, przykuła i obezwładniła wolę jego szlochem liści rozwianych?

Za jej tajemnym podszeptem, jakby za głosem samej h i s t o r j i, do zbłąkanego serca kołacącym, wstąpił Piotr Rozłucki w mogiłę ojca, która stała się dlań progiem odrodzenia. Cmentarny pozew brzozy w przybytek nowego życia go wprowadził.

Noc, w której syn marnotrawny, z dalekiej wracający obczyzny, rozkopuje grób rodzica, aby w nim własną duszę zagubioną odnaleźć, ma w opisie Żeromskiego, znamiona mistycznej, niebiańskiej świątyni, w której dokonywa się komunia świata żywych ze światem umarłych. Każde słowo w tym opisie posiada wagę słów wyjętych z Ewangelji. Każdy ruch syna, biorącego na czoło chrzest polskości od szczątków mogilnych, przeistacza się w obrzęd; a cały akt urasta na jakąś weselną uroczystość Przemienienia.

...„*Piotr począł wybierać ziemię ostrożnie, czerpał ją gracą cienkimi warstwami*...

...*Ale oto ostrze rydla zaskowyczało dźwiękiem jedynym. Od tego głosu skurczyło się serce — i coś w nim pękło*“.

Piotr rozpoznał kości, od kul sołdackich zgruchotane. Kości ojca swego.

Cud przemienienia dokonany. Pękła w sercu zapora, odgradzająca od siebie dwa dotąd obce sobie światy: Człowiek i Polska stopiły się w tym sercu w jedno. Skarb o który napróżno Piotr pytał żywych ludzi, i którego próżno szukał po świecie, odnalazł wreszcie: wyjawiła mu go cisza grobu. Przez zetknięcie z kośćmi mogiły ocknęła się w nim prawda życia i prawda krwi. Pojął

[1]) Słowacki w „Grobie Agamemnona“ szydził [illegible]

*Na Termopilach, bez złotego pasa,*
*Bez czerwonego leży trup kontusza* —
*Ale jest nagi trup Leonidasa*.. i t. d.

Po roku 63-im już byłby pewno tych słów nie napisał.

ludzką naturą swoją, krajobrazem, przedmiotami martwymi. Mowa ta wyczarowana przez Żeromskiego z najtajniejszych odbić prawd nadzmysłowych, mowa pór dnia i roku, drzew, dróg, ciemni i barw, mowa jakiej zaiste dotąd w prozie nikt u nas oddać nie umiał, mogła wyżynami swego znaczenia dźwignąć duszę Piotra, mogła sentyment ludzki w tytaniczne czucia przedzierzgać.

Duch miłości do kraju olbrzymieje też w Rozluckim, myśl poczyna się dlań trudzić, do wielkich dzieł już mierzy, już się Piotrowi prometejskie śnią zadania, już wysiłem zamiaru ujęte przezeń fale Wisły „pracują za całe polskie plemię", lecz do wcielenia tych pragnień w istotny, życiowy czyn droga jeszcze daleka. Piotr niestrudzenie dąży po niej i zrywa z formalnymi szczątkami przeszłości, zrywa ze wszystkimi, coby go kręgiem uczuć osobistych zacieśniać mogło, łamie się jeszcze z resztką swą człowieczą, zwycięża ją w sobie wreszcie, wyrywa jak drzazgi zader i wszystkie siły w takich ogniach hartowanego ducha przyszłym gwoli, heroicznym dla całego kraju pracom poświęca. Przez lata u najmędrszych obcych ludów pracuje, by siła wydajności mózgowej wyżynom wielkiego celu sprostać mogła.

Nakoniec wraca ku swoim.

Lot jego do kraju, lotem areoplanu własnoręcznie zbudowanego zobrazowany, jest symbolem podniosłości, symbolicznym czynem genjusza i woli. I Piotr sam powraca już jako symbol, bohater-heros, Ullisses, zwarty w sobie, milczący i działający. Dwóch towarzyszów ma w powrocie, lecz ci są do czynu pracy uczłowieczania o zakresie codziennym (kooperatyw i oświaty), są oni podstawą realną, granitową, nad którą łukiem wzbija się linja prometejskiego, epokowego lotu Ulissesa.

Czy mógł Żeromski czynowi swego Prometeidy dać rozwiązanie doraźne, poglądowe, realistyczne? Czy mógł zakreślać bieg strzale swej tęsknoty? - Nie. Dlatego też dał on li *stan* swego herosa, stan, który nie wyklucza żadnej możliwości osiągnięcia przyszłym czynem celu: obudzenia życia w narodzie. Skrystalizował zaś twórczo Żeromski swą koncepcję istoty herosa polskiego w antycznym jakby kształcie „człowieka nagiego", walkierza z zalewającym go zewsząd oceanem.

Do orszaku twórczych zjaw krążących od wieku nad narodem przybyło dzisiejszej tęsknoty wcielenie, nowy Prometeida polski.

*Kazimierz Wroczyński.*

# Szkarłatny płaszcz.

Błogosławiona bądź cudna, uśmiechnięta czarownie urodo życia. Za łzy szczęśliwe w oczach młodych dziewczyn, za rośne płatki kwiatów, za przeguby nieskazitelnie pięknych ciał, wyciągających ramiona do rozkoszy, za aromaty niw i ługów nabrzmiałych lenistwem upojenia, za lazury mórz dalekich i rozgwary miast, w których z kuźnicy miljonowych wysiłków rodzi się zbytek, przepych, bogactwo, za połyski brylantów, za bezszelestną muzykę koronek, piór, perfum, za pieśni Shelley'a o wzruszeniach słodkich, za tysiące innych swoich drobnych i potężnych objawów głębokość i ostateczność dopełnianego w sobie przełomu.

„Uczucia jego, — mówi Żeromski, — stały się radosne; weszły w kraj poznania wysokiego i dosięgły dziedziny innego świata. Serce radowało się, że był na tej ziemi i tak umarł samotny rycerz polski Jan Rozłucki, — że rycerz ten — to ojciec".

Niedarmo wielekroć przedstawiała Żeromskiego krytyka polska, jako pokutnika sprawy narodowej, w surową odzianego włosienicę. Nikt głębiej odeń nie wejrzał w jaskinię upadku zbiorowego. Ktoś zauważył słusznie, że wszyscy bohaterowie jego, pod różnymi występujący imionami, noszą w sobie duszę tę samą: duszę doktora Judyma. Wszyscy pochodzą z rodu Ludzi Bezdomnych. Życie ich jest pielgrzymką, odbywaną poprzez niesłychane dla człowieka trudy, ku miejscu przenajwyższemu, kędy zamieszkuje niedościgniony sen ich duszy: ojczyzna. Drogi, którymi idą, zmierzają do jednego celu; a wszystkie wznoszą się w górę po szczeblach zrzeczeń coraz okrutniejszych z osobistego szczęścia. Ci, którzy na nich raz stopę postawili, nie zboczą już nigdy w prawo ani w lewo: dojdą wytrwałym krokiem do zwycięztwa. Prawda, że wygrana ich będzie zwycięztwem nad szczęściem ich własnem; że na polu walki legnie trup ich zdeptanego serca. Lecz jak dziwne, jak niepojęte są w nich charaktery! Tam gdzie innych, tam gdzie każdego zmiażdżyłoby nadludzkie cierpienie, — zgniotło barki i przychyliło głowę do ziemi, — tam otwiera się dla nich źródło jakoby nowej siły i niedosiężonej dumy. Prawda, w twarze ich lepiej nie patrzeć, i serc ich lepiej nie tykać, ale ich kroki się nie zachwieją, ich nogi się nie ugną, a głowa hardo wyzywa losy i pioruny.

Na tej samej drodze stanął Piotr Rozłucki, wstępując w progi kraju, tę samą krzyżową mękę poniósł na rycerskich ramionach, która gniotła na polach Cecory barki hetmańskie Żółkiewskiego i którą poznał w swych nocach bezsennych pod piramidami — Sułkowski. Pielgrzymką pokutniczą — do Polski, do serca swego narodu: oto czym są dzieje jego życia. Nowa epopeja pielgrzymstwa — oto treść „Urody Życia".

Z niezmiernej dalekości, z granitowych twierdz wrogiej nienawiści, przybywa Piotr Rozłucki do Polski; przybywa jako wróg z cudzej krainy. Niezwykle ciekawy jest założony na początku przez Żeromskiego pomysł — spojrzenia na Polskę z zewnątrz, od północy, oczyma Rosjanina. W zimnym, dalekim wejrzeniu tych oczu wszystkie widziane przedmioty zdają się nabierać ostrych, wyrazistych zarysów; nikną w nim pośrednie barwy i odcienie; a drobne, szczegółowe załomy tysiącz-

wów, nienazwanych może przez nikogo bądź błogosławiona .. i przeklęta

Opowiada nam o Twoim pustym a lekkomyślnym, szampańskim a zawrotnym wdzięku poeta osobliwy.

Nie jest on przysięgłym chwalcą Twoich czarów, ślimakiem, chowającym się przed krwawym brudem i znojem bytowania do wysianej perłową tęczą skorupki.

O nie! Wieszcze serce tego człowieka jest posiepane bliznami, i strudzone nogi są okryte kurzem.

Znużony jest srodze, śmiertelnie...

Do Ciebie wraca dziś, jako do srebrnego potoku sączącego Zapomnienie, wśród rozchwiejnych elegijnych topoli...

Niegdyś może byłaś dla niego niezrozumiałym błogim Objawieniem, dziś już tylko umie tęsknić, a gdy potrzeba — drwi. Jak urągliwie i szyderskol! Jak boleśnie, jak dotkliwie.

O przystojne, urodziwe, zażywne, wyposażone w cienkie płótna i srebra stołowe życie polskie!

Uroda życia i... czaszka zamordowanego ojca. Uroda życia i... niedola umęczonego Narodu, rdza kajdan, nędza polska.

Uroda życia i... strzaskana, okryta niesławą tarcz dziejów.

Uroda życia i... zgrzytanie więziennych zasów.

Taką jest zasadnicza antyteza Żeromskiego.

W duszy i o duszę Polaka Rozłuckiego walczy uśmiechnięty dajmon biały Urody Życia z żałobnym duchem Ziemi, Narodu, Historji, Przyszłości, Wyzwolenia.

Białe musliny i liście winogradu splotły się z oczkami włosiennicy i oplątały miedziany pancerz...

Wytężona walka duchowa, szarpanina wnętrzna wypełnia dzieje duszy wyniosłej, jak górski szczyt — i przeraźliwie smutnej.

Który duch zwycięży?

Pierwszy kazał Rozłuckiemu ukochać swój cień, tajemniczą Tatjanę całą duszy potęgą.

Drugi poruszył w lochach psychicznych jego jestestwa pokłady podświadome, których drżenie zrodziło Niepokój, Smęt i doprowadziło młodego oficera do Hannibalowego ślubu wobec prochów ojca.

Który duch zwycięży?

Czy kochanek weźmie górę nad rycerzem, czy też rycerz bez skazy będzie złym kochankiem?

Ujarzmienie indywidualnego życia duszy dla ideału społecznego innymi słowy *ofiara* jest pospolitym zjawiskiem w literaturze. Wyrzeczenie się ideału za popędem instynktu, jeszcze pospolitsze w życiu byłoby historją *upadku* bohatera.

Z tej alternatywy Żeromski nie skorzystał. Walka kończy się nierozegraną.

Rolę rozjemcy odegrała Śmierć...

Za sprawą tej wysłanki tajemniczej gwiazd z tezy i antytezy rodzi się synteza.

Miłość wieczysta i jedyna tryumfuje nad śmiercią. Tatjana — Uroda Życia żyje w dalszym ciągu w Rozłuckim pogodzona z jego święceniami rycerskimi. Bezmyślna, podniecająca zmysły *Uroda* w zetknięciu z ideałem społeczno-narodowym nabiera powagi i dostojności *Piękna*.

Jest to rozwiązanie w wysokim stopniu niebanalne. Wszystko inne — tak asceza ofiary, jak hańba lub przynajmniej słabość upadku nie byłyby równie ciekawe, nie posiadałyby brzmienia akordu...

Tu mamy akord... Romantyzm nowoczesnego rycerstwa, zatopiona na samym dnie jeziora duszy miłość, niezłomny czyn Odrodzenia i wyzwoleńczy łoskot śmigła — to całość.

Ponad nizinnym brudem ziemi i zdradną głębiną morza, w wolnych przestworach, w towarzystwie obłoków i orłów unosi się nowy człowiek. Mocarzem jest i czarodziejem, bo potrafił nawet marzenia nieuchwytne o wolności spętać

---

nych, pogmatwanych kształtów zbiegają się w kilka prostych zasadniczych linji, znaczących obszar polskiej, beznadziejnej niedoli, obszar tej śmiesznej, bolesnej nędzy, która jednocześnie budzi łzy żalu i jad urągowiska...

Rozłucki wjeżdżał w mury przedmieścia Warszawy, rozmyślając, że śladem Suworowa wstępuje w nie, jak — tryumfator. Żeromski rozmyślnie wziął najdalszą duchową odległość — w nastrojach swego bohatera — od granic świadomości narodowej, aby wypróbować na tym przykładzie zakres promieniowania jej niewidzialnych ośrodków, zmierzyć ich siłę przyciągania. Powoli, stopniowo budzi się w Rozłuckim — polskość. Nieśmiele zrazu i z niedowierzaniem, żarzy się na dnie duszy jego, jak iskra; atoli wokół niej rozciąga się pustka. Środowisko polskie, w którym Rozłucki zamieszkał, niczem do utajonego rdzenia jego polskości przemówić nie jest zdolne. Na ironję mimowolną zakrawa fakt, iż mowy polskiej, mowy swojej duszy, uczyć się musi od „Kozdrojowców", wyrostków gimnazjalnych, którzy sami jakąś kolonję nieuznawaną tworzą po za nawiasem uznającego się za naród społeczeństwa. Jakiż to charakterystyczny szczegół, że Rozłucki, zanim jeszcze całkowicie wcielił się w narodowość polską, już polskim stał się spiskowcem! Spiskowcem, buntującym się nietylko przeciw czynnikom zewnętrznym, ale i przeciw małodusznej opinji wewnętrznej, która przecież jak najsurowiej, narówni z inspektorem, szpiegującym uczni, potępiała „syzyfowe prace" młodych entuzjastów.

Tymczasem iskra rozbudzonej narodowości sycona żarem nieustannej pracy wewnętrznej, płonęła w duszy Rozłuckiego coraz silniej. Karm atoli dla tego ognia, który się na ołtarzu jego duszy zapalił, i którego odtąd po kres życia strzec miał, jako świętości najwyższej, Rozłucki czerpać musiał daleko z poza głów i z poza serc tego koła Polaków, w którym się znalazł. Duch jego, jak biały od skał lecący orzeł, długo, boleśnie zataczał kręgi coraz ciaśniejsze nad swą rodzoną ziemią, szukając miejsca niesplamionego podłością, na którym by złożyć mógł, siadając, skrzydła... Jednej piędzi zagona, wolnego od hańby, wypatrywał wśród żywych, aby spocząć i — w końcu, snadź nie znalazłszy, zmuszony był, wśród cmentarnego boru, spocząć — na mogile...

Któż wypowie, ile zgrozy mieści się w tym niemym krzyku potępienia, wydanym na żywą teraźniejszość polską? Więcej, zaiste, więcej w nim straszliwości sądu, niż w Żółkiewskiego oczach gasnących, gdy w obliczu nieuchronnej śmierci spojrzał po hufcu jedynym, jaki mu pozostał, spojrzał i nie dostrzegł nikogo z tych, co odeń odebrali przysięgę, że z obozu nie ujdzie. Lecz tu odsłania

stalowymi kajdany i zmusić je, by niosły służebnie wwyż rydwan Jego Samotności.

Mocarz. Potentat. Pan.

Pionier i praekursor.

Zarazem zaprzysiężony rycerz, który wyruszył na bój o swoje ukochania drogie i święte, odpoznane, nanowo wygrzebane z namuleń i obcych nawarstwień duszy.

Pod skibą ziemi ojczystej, przetworzone w tę ziemię, niepulsujące leży serce ojca... Oplotła je niewidzialna nić, której drugi koniec hen precz zaginął w wyżach, na nieutorowanych przez nogę ludzką drogach. Przebywa je aeroplan Piotra Rozłuckiego...

Aparat zachwiał się...

Coś się stało..

Spada w morze...

Lotnik pospiesznie zdjął ubranie i jest już nagi...

Trzeba być wielkim plastykiem, aby odczuć to połączenie linji wiotkiej aktu ludzkiego z złowrogo spienionym bezkresem morza. Trzeba mieć umysł głeboko refleksyjny, poza wielkim talentem, aby tak symbolizować.

Po jednej stronie staje wszechpotęga fatalna żywiołów, moc żelazna wrogich wielomiljonowych państw, stal bagnetów i pancerników, po drugiej jeden nagi człowiek.

Ale w duszy tego człowieka grają surmy orkanowe, w duszy tej rozgorzał wielki płomień, buchający tysiącem ognistych słupów, w duszy tej spłonęły i spopieliły się losy. Nędza i męczeństwo, śmierć i miłość są to fatalne zarzewia, które rozpaliły te surmy ogniowe.

Nędza polska, pokutny żar chłopskiej modlitwy unity, osaczonego w lasach, niemoc suchotnika żyda, uciekającego przed przemocą, zwierzęcy ból zawiedzionej miłości, ból historyczny, społeczny, indywidualny i narodowy, podpatrzony i odnowa przeżyty w wielokątnych, wielobarwnych swoich przejawach jest jednym z pozytywnych walorów twórczości Żeromskiego.

Powieści jego to jakieś szacowne koronki cierpień, które tkacz rzuca bylejak i byległdzie na okurzoną sofę, lub zalany resztkami jadła stół.

Niedbałość budowy „Urody Życia" jaskrawo rzuca się w oczy. Cały węzeł intrygi spoczywa na konsekwencjach karczemnej awantury Rozłuckiego z kolegami.

Niewspółwymierność rażąca! Drobne albo nieprawdopodobne wydarzenia zasłaniają tu głębokie symbole, intuicyjne wyczucia, misterną analizę psychologiczną Podobnie, „Dziejach grzechu", podobnie w „Róży".

Bardzo często przez naiwne podmalowanie Żeromski obniża własne wartości.

Wielki pisarz niedość oszczędnie wyzyskuje swoje pomysły, niedość intensywnie eksploatuje je. W dobrym gospodarstwie pono nic nie powinno się marnować.

Gospodarstwo artystyczne Żeromskiego, prowadzone na skalę magnacką, obracające potężnemi wartościami myśli, intuicji twórczej, formy — daje stosunkowo niewielki zysk....

Z punktu widzenia handlowego byłby to karygodny defekt!

Nas to mniej smuci...

Gdy możemy być świadkami obrotu idei nieprzemijających obrazów świetnych, wzruszeń podniosłych, jesteśmy szczęśliwi .. Nowa powieść Żeromskiego, obracając się dokoła takiego tematu, jak powrót zrusyfikowanego syna powstańca do polskości zdołała przecie uniknąć mielizny patrjotycznej tendencyjności. Uratowały ją od tego poniekąd rycerny romantyzm i romantyczna rycerość autora „Róży" i „Snu o szpadzie".

Z koronek cierpień oblanych krwią z pod serca polskiego utoczoną, utkał Żeromski płaszcz purpurowy wyzwoleń wszechludzkich, płaszcz wielkiego piękna i dostojeństwa.

*Jerzy Jankowski.*

---

się przed nami wtóre oblicze ascezy: oblicze gniewu i surowości Bohaterowie Żeromskiego nie mają pobłażania dla własnych słabości; idąc do wielkiego celu, nie wahają się rozrywać najboleśniejszych strun serca, jeśli struny te w drodze ta mują im kroki. Nie żądajcież od nich, aby wyrozumialsi byli na słabości cudze!

Naprożno Rozłuckiego zaklinać będzie kochanka, aby polubił pogodę życia i rozkosz bytowania dla siebie, ażeby przecie spostrzegł radość, piękno i słodycz istnienia. Naprożno modlić się będzie do Boga, ażeby zdjął duszę jego z haków okrutnych, na których sam ją rozpina. Bóg Rozłuckiego twardy jest, surowy i ponury; bo nie jest on bogiem użycia, swobody lub szczęścia, lecz bogiem — sumienia, straszliwym sędzią obowiązku, bogiem polskiej niezbłaganej doli!

A nietylko przeciwko wichrom własnej namiętności walczyć musi Rozłucki, idąc krokiem pielgrzyma ku Polsce; jednocześnie zwalczać on musi wstręt i ohydę tego prądu spodlonej powszedniości, jaki naprzeciw niemu płynie z serca zbutwiałego rodaków. Miłość swą ku Tatjanie wyrwie on z piersi razem z kwiatem najdroższych wspomnień i, jak furję szaloną, zdusi w wiekuistym milczeniu; aby się na wieki wyzwolić. Ale zarazem rodakom, grzęznącym w gnuśnym spoczynku, wyda on wojnę całą żywotnością swego ducha, wojnę długotrwałą, nie znającą rozejmu, aż do śmierci. Potrzykroć — zwiąże się przysięgą:

— „Trzeba królestwo boże w Polsce osadzić. Trzeba podnieść ręce tego ludu do Boga. "

— „Trzeba nauczyć ich dyscypliny ducha, przemienić wszystkich w żołnierzy. Trzeba nauczyć ich trzymać się prostej linji w szeregu..."

— „Trzeba zwalić od przyciesi gwałt brata nad bratem. Nie oszczędzać krzywdy, drzeć ją pazurami i zębami, palić żagwią, oddać dla jej zniszczenia wszystko, do ostatniej koszuli i do ostatniego marzenia"...

Piotr Rozłucki odzyskał utraconą ojczyznę. Lub, jak zechcą inni, Polska w nim wiernego odzyskała syna.

Rozłucki stał się Polakiem. Krwią z krwi się poczuł i kością z kości swoich ojców. Razem z uniformem oficera zrzucił z siebie obcą, narzuconą narodowość. Nie zdał się na nic świetny, genjalnie obmyślony, system wychowania. Zawiodły wszystkie najpotężniejsze, w szatańskim ze sobą sprzysiężone spisku, czynniki wynarodowienia: miłość dla najpiękniejszej w świecie kobiety, widoki władzy, nadzieje bogactwa, obietnice sławy Wszystko runęło w niwecz wobec dźwięku jednego imienia: Polska.

— Nie oparł się atmosferze kraju! — powie ogół. I doda: — instynkt pociągnął go ku swoim.

# Człowiek i ziemia.

Zaledwie Piotr Rozłucki krokiem stąpił na rodzinne pola, już cała przyroda bratnie mu otwiera ramiona. Lasy i zboża gadają doń — językiem głębszym i wnikliwszym, niż mowa ludzka. Groby odmykają przed nim swe tajemnice. Krzyże cmentarne i groby uczą go ojczystej historji. Zorze pociągnęły ku sobie jego oczy i w rumieńcach swoich je rozkochały. Marzenia jego kołyszą się w wierzchołkach drzew, wpośród promieni słońca i stamtąd „na rękach ich wstępują między obłoki wolne jak wiatr", aby z pod stropu jednym objąć spojrzeniem wszystka polska ziemie. Ludzie milczą: nieme są instytucje, nieme stronnictwa, nieme piersi i nieme serca. Lecz jakimż potężnym zato chórem przemawiają do duszy przychodnia drzewa, zorze, wody, groby i kamienie! Jak głęboko, w ciągu wieków wrosła w tę ziemię polskość: dość skibę rozorać, aby usłyszeć o niej pieśń; dość kamień poruszyć, aby ujrzeć jej dzieje. Każda grudka ziemi przerosła tu jest elementem życia ludzkiego, znojem pracy, osadem długowiecznej historji, z których tworzy się owa „ogromna szmerność podgrobowa", słyszana w duchu, niby tętent stuleci. Gdzie kończy się ta ziemia, a gdzie zaczyna się człowiek: — czyż podobna określić? Rzeki w niej płyną pełnymi wodami: dlaczego nie toczą łez? — przecież starczyłoby na nie — cierpienia. Drzewa pulsują sokiem roślinnym. Dlaczego nie krwią? — starczyłoby na nią Grunwaldu i Cecory, Maciejowic, Grochowa, Ostrołęki...

Tak patrzy, tak ziemię swą widzi i czuje Żeromski. Gdy w noc letnią księżyc wzbije się nad pola, dla innych rozsiewa on tylko światło obojętne i martwe. Dla Żeromskiego — wypromienia on żywą prawdę, jakoby wiecznie ze źródła swego wypływającą, niepodobną do zgłębienia, i duszę ciągnącą w jednym zawsze kierunku — tęsknoty. To światło może być trumną srebrną, w której śpi legenda przeszłości; pajęczyna, która osnuwa grobowce. Ale niewątpliwie jest także mgłą marzenia, w której lęże się zaród przyszłości. Nikt głębiej od Żeromskiego nie wniknął w sprawę wzajemnego współoddziaływania między narodem a ziemią, poetą jako organ a zarazem podścielisko historji. Nikt, prócz niego, ku ziemi nie przysunął się na tak bliską, poufną odległość — na odległość dwu serc, bijących ku sobie.

Gdy tedy ziemia jest dlań pokładem nawarstwionej pracy pokoleń, dziedziną historycznego dorobku, śpichlerzem twórczości dziejowej, — jakże olbrzymią dźwignią czynu stać się ona może w ręku tych, którzy do jej utajonych potęg się odwołają! Jak olbrzymim echem odegrzmią w niej kroki Twórcy—Bohatera—Wodza!

Wówczas, gdyby milczeli ludzie, na kroków owych odgrom, kamienie będą wołać i lasy zaszumią hejnałem.

A więc i ci, którzy od dzieła Żeromskiego oczekują łatwego pokrzepienia, i ci, którzy odeń lękają się przegryzającego mięśnie pesymizmu — doznają zarówno zawodu. Skądkolwiek, bowiem, idą widma spokoju, ciszy i martwoty, — i dokądkolwiek płyną, — nie mogą płynąć tym samym szlakiem, po którym przechodzą burze wiosenne i nawałnice. A nawałnicą jest dusza Piotra Rozłuckiego. Kipi w niej ogrom sił. Padają z niej pioruny we wszystkie zakąty kraju, od gór Karpackich do Pomorza. Nie znamy wymiarów jego czynu: udział jego w pracy nad rozwojem lotnictwa jest tylko jednym z możliwych, dowolnie obranym, upustem dla twórczej, nieuskromionej woli, nie znamy mety, u której padnie pocisk z jego łuku. I znać jej nie możemy, ponieważ tkwi ona, już poza obrębem poezji, już w granicach stającego się życia, w naszej już granicach woli.

Poeta rozpalił przed nami ognisko niepoko-

Mógł zostać wielkim wodzem obcego mocarstwa, dostojnikiem państwowym, ministrem lub dyplomatą, a jednak ponad cudzoziemskie zaszczyty przełożył chlubę polskiego imienia, wracając — z pałaców — w niskie progi ojczyste, wracając między — nas!

Tak niezawodnie chełpić się będzie narodowe samolubstwo, pobłażliwie witając Rozłuckiego w swych progach, jak go powitał w Zatoce stary pan Oścień, ojciec ślicznej panny Marzeńki.

— Cała powieść, — poświadczą inni, — jest doskonałym argumentem przeciwko zakusom rusyfikacji. Narodowość spoczywa w nas, jak żywioł niepokonany. Nie przemoże go polityka, ani przemoc.

I tak mówiąc, ślepo zaufani w żywiole owym, który ma za nich czuwać, spać nadal będą spokojniejsi w lenistwie, bezpieczniejsi w kłamstwie.

Lecz jakże-ż jest w istocie?

Naprawdę-ż otrzymaliśmy tylko łaskawie zgotowany eliksir ku serc nowemu pokrzepieniu?

O! jakże błogosławimy poezję, ilekroć zwalnia nas od czynu!

Wszelako, nie pora! jeszcze nie pora zasypiać chełpliwym snem zadowolenia pod cieniem poezji Żeromskiego! Jeszcze olbrzymie skrzydła jej huczą groźną wichurą śmiercionośnego pędu! Nie wydarto im jeszcze lotek, w których śnią pioruny. Nie zamurowano jej w muzeum. W pochodach narodowych jeszcze nie rozwiesza się je nakształt malowniczej płachty, celem ubarwienia nagiej pychy głupców, wołających: „*Nasz* Cyprian Norwid! *Nasz* Stanisław Wyspiański! *Nasz* Stefan.. Że..."

Nie! nie! na to jeszcze zawcześnie!

Wy zaś, co z tak protekcjonalną skwapliwością otwieracie Piotrowi Rozłuckiemu objęcia, baczcie, iżby przed progiem waszym nie potknął się o zabitego płaza, szpiega, który padł z obcej, cudzoziemskiej ręki, „aby na ziemi nie plodziła się zaraza podłości".

W Rozłuckim odżyła polskość! — mówi większość czytelników. I w tym spostrzeżeniu zamyka z pociechą zbawienny sens powieści. Lecz jakże nie zauważyć tego, że gdy społeczeństwo polskie, w obrazie Żeromskiego, rozlewa się nieruchomo na nizinach, jak drzemiąca woda, Rozłucki pnie się po stromej wyżynie, wysiłkiem nieustannym dźwiga duszę i ciało na jakąś Świętą Górę, ćwiczy wolę do mocnego czynu, hartuje uczucia, łamie się sam ze sobą, krwią płaci za doświadczenia, ceną szczęścia całego życia zdobywa samotny szczyt samopoznania. Rozłucki nie nasiąka polskością w środowisku swych rodaków, ale, mimo niego i często wbrew niemu, dobywa z siebie własną pracą i własną walką wewnętrzną, żywioły narodowego ducha, z tworzywa własnej męki budując w sobie duszę polską. Przeciw pospolitym, zbio-

ju i walki, pokazał cięciwę napiętą do strzału, rozwarł ocean uczuć: czyn narodzi się tam, gdzie ocean bije o brzegi rzeczywistości. Czyn jest iskrą, wybuchającą ze starcia opornego żywiołu— z marzeniem, głazu — z uczuciem. Ono to, — uczucie, — jest owym płomieniem na hełmie pierwo-idących, w który Słowacki ubierał, jak w glorię, głowy bohaterów.[1] W istocie: za cóż bo czcimy imię Prometeusza? Że wydarł ogień bogom? — Nie. Iż — śmiał to uczynić! Pożytkiem swego wynalazku — należy on do ekonomji społecznej. Heroizmem uczucia — do poezji. Któż zważy wartość obu stanowisk na szali losów narodu? Któż zerwie płomień na hełmie pierwo-idących?

*W. Rz.*

# Uroda polskiego życia.

Wydaje mi się rzeczą nie ulegającą zaprzeczeniu, że Żeromskiemu chodziło o urodę *polskiego życia*. Przeciwstawił je życiu rosyjskiemu; czy ujął to ostatnie w całej pełni — to pytanie.

Nie sądzę aby było możliwym wszechstronne porównanie. Można mówić tylko o wyższości lub niższości życia z pewnego punktu widzenia. Ten został zachowany konsenkwentnie.

W życiu rosyjskiem zostało zupełnie pominięte to, co pociąga cudzoziemca, co uderza przy poznaniu literatury, co na zasadzie znajomości książkowej narodu rosyjskiego wydawać się może najbardziej ważnem i charakterystycznem. „Bosiaczestwo", poszukiwanie prawdy, ewangelizm — Gorkij czy Dostojewski, Tołstoj czy Hercen lub Bakunin — wszystko zostało pominięte — i bynajmniej nie wskutek umyślnej tendencji.

[1]) P. wiersz: „Do Ludwika Norwida".

Życie rosyjskie ma dwa krańce: państwowość podporządkowującą sobie wszystkie dziedziny życia tudzież indywidalizm negujący wszystko poza sobą lub stawiający nad nimi znak zapytania. Tym dwu typom zasadniczym odpowiadają w powieści Żeromskiego: Rozłucki w swej pierwotnej, ukształtowanej przez kadecki korpus postaci — i Tatjana.

Piotr Rozłucki przywozi ze sobą do Polski biurokratyczną wiarę we wszechmoc twórczą potęgi państwowej, której czuje się drobną cząstką. Wierzy, iż na obcym gruncie, w Polsce, państwowość ta zdoła zaszczepić kulturę, oświatę, życie ekonomiczne. Że pod opieką administracyjną rozkwitnie życiem ta ziemia leżąca odłogiem wskutek — jak mniema — wiekowego niedołęstwa jej prawych dziedziców. Rozłucki widzi ogromną, doskonałą mechanikę państwa i sądzi, że dość wprowadzić ją na ugory, by one okwitać poczęły runią. Nie domyśla się, że w ziemi samej tkwią siły odżywcze, że ona tylko, ona sama, zdolna rodzić. Znając państwo, Rozłucki nie zna, nie rozumie pojęcia „narodu".

Tatjana — typ to odmienny, choć również z atrofji instynktu narodowego wyrosły. Tatjana nie jest poszukiwaczką prawdy — lecz poszukiwanie siebie, negacja tą dopiero pierwszy krok na drodze indywidualizmu. Ona jest już poza tym etapem. Znajdujemy ją bez przesądów, bez wszelkich restrykcji w oddaniu się Rozłuckiemu, a równocześnie świadomą konsensekwencji od dania się, tak, że nie mamy podstawy do przypuszczeń, że chce przedstawić Żeromski niepomną na nic, ślepą namiętność. Nie — Tatjana świadomie nie widzi nic poza sobą. Przesądy towarzyskie, społeczne, religijne nie istnieją dla niej, gdyż są poza nią, przezwyciężone.

Wraz z tym idzie w porze zanik wszelkiego poczucia społecznego, zanik świadomości swego uczestnictwa w pochodzie kultury.

Tatjana nie jest nawet kosmopolitką w Paryżu przechodzi obojętnie obok nagromadzonych rowym suggestjom polskiego otoczenia bronić się on musi jak przeciwko niebezpieczeństwu, odgradzać się od nich, jak od pokus przystosowanego do niewoli życia: odtrącać je od siebie musi ze wzgardą tak, jak odtrącił haniebne targi, wielbionego w domu państwa Ościeniów, hr Nastawy.

Ten ostatni jest tak bogaty, że bez uszczerbku dla swej majętności ofiarować może wspaniały „równoważnik" pieniężny wzamian za wieczyste zabezpieczenie sobie serwitutu na sercu panny Ościeniówny. Zważmy wzniosłość tej tranzakcji! Hrabia zapłacić gotów Rozłuckiemu znaczną sumę za ustąpienie niepodzielności praw do ukochanej; ale dla hrabiego nawet znaczna suma jest niczem, natomiast panna Ościeniówna, jak mówi, jest dlań wszystkim. I za tę właśnie „wszystkość" ofiaruje on coś, co jest dlań w gruncie — niczym. Nie szukajmy w tym postępowaniu rycerskości, ale skoro hrabia w roli kupca wystąpił, zapytajmy przecież, gdzie podziała się w nim zwykła uczciwość kupiecka, za złoto płacąca złotem, za życie — życiem? To pytanie podkreślamy, celem uwydatnienia kontrastu wobec charakteru Piotra, który pełną wagą krwi i cierpienia płacił do końca życia za umiłowania swej duszy; podkreślamy je, jako maleńki szczegół dla tych, którzy dzieje Rozłuckiego streszczają w zdaniu; „Zrósł się ze środowiskiem".

Jeszcze raz powtórzmy pytanie: Zrósł się? Czyli — wyrósł po nad nie?

Na czym polega przynależność hr. Nastawy do ojczyzny, udział jego — w narodowości? — Naprzód, niewątpliwie, na położeniu majątków jego w jednej z guberni Królestwa Polskiego. A potym? — Potym jeszcze, także niewątpliwie, na języku. Atoli języka tego on nie tworzy, podobnie jak niczym nie przyczynił się do stworzenia majątków, już w kolebce przezeń odziedziczonych po przodkach. Cóż więcej? Wszak trudno chyba kłaść na szalę jego wartości narodowej tych drobnych, może licznych nawet, przysług jakie umie rodakom swym wyświadczać dzięki zażyłym z biurokracją rosyjską stosunkom...

Więc czymże jest, przed sądem Żeromskiego, narodowość hr. Nastawy? Czym w jego sercu ojczyzna? — Zbiór przywilejów majątkowych, nietykalność obwarowanego próżniactwa, bezkarność małych podłostek, a wszystko opasane żelazną obręczą posłuszeństwa wobec gubernatorów, zaprawionego nadto osobistym uznaniem — dla władzy.

Więc jeśli chodzi o wartości ideowe, to narodowość jego jest formą próżną treści, urojeniem, dawno zamarłym dźwiękiem. Ojczyzna, jej poniżenie i ucisk i niedolę, jeśli zna on i czuje, to czuje nie buntem zranionego serca, ale—giętkością karku.

skarbów kultury; obojętnie wobec wszelkiej idei — konsenkwentnie ciąży ku temu tylko, co jest, dla niej, wobec czego stanąć może jako punkt ośrodkowy, unikając wszystkiego, co jej jaźń podporządkować może jakiejś sprawie wieków czy pokoleń, co nawet nie wymagając żadnej ze siebie ofiary mogło by godzić w jej egocentryczny punkt widzenia świata. Jest to indywidualizm nie u swego punktu wyjścia, lecz u kresu. Postać Tatjany jest w dodatku odziana we wszelkie blaski i uroki, jakiemi rozporządzać może człowiek. Zdawać by się mogło, że tytuł „Uroda Życia" do tej odnosi się postaci.

Lecz jest urok potężniejszy od urody najpiękniejszego kwiatu, jakim wykwitła pośród życia rosyjskiego Tatjana. Urok to napoły tylko radosny, napoły smętny, a jednak głębią swoją, wszechstronnością i siłą stokroć bardziej zasługujący na nazwę „urody życia". Urok ten działa od pierwszej chwili, gdy Piotr dotknął stopą ojczystej ziemi. Dla serc naszych jest on tym, czym powietrze dla naszych piersi czuć go przestajemy świadomie, tak dalece koniecznym, nieodzownym jest dla naszego życia.

I piękny to zaiste artystyczny rozmysł Żeromskiego, iż każe ten prawdziwy urok wchłaniać Rozluckiemu, którego serce jest dla tego uroku stworzone, a nigdy go dotąd, nawet w marzeniu nie zaznało. Wraz z nim chłoniemy go, jak gdybyśmy oddychali piersią wraz z wyprowadzonym na powietrze z dusznej ciemnicy.

Uroda polskiego życia jawi się Rozluckiemu w każdym najdrobniejszym szczególe. W rozgwarze swobodnym miasta, w spotkanej przypadkiem w wagonie panience; w zbiorowisku ludzkim na kościelnym nabożeństwie, w gromadce zebranej w dworku generalskim, w krajobrazie, w pozornej beztrosce wiejskiego bytu i dosytu. Królewsko dumne podniesienie głowy u panny Małgorzaty, powaga chłopa spotkanego u stryja Michała, zamknięta dla Piotra obcość ulicznego tłumu w Warszawie — to wszystko łączy się w jeden splot, stanowi szereg pojedynczych objawów jednego zjawiska. Przed Rozluckim, bałwochwalcą machiny państwa, wierzącym, że ten to mechanizm jest jedyną sprężyną życia podległych mu ludzkich zbiorowisk, wyrasta inna siła, ukryta, niewyśledzona, niezłamana i nieugięta, która oporne mądrej machinie zbiorowisko łączy w jedną całość, odbijając na każdym jego przejawie to piętno królewskie; siła, która tworzy — naród.

Ta siła sprawia, iż rzecz każda, czynność najdrobniejsza posiada swoje specjalne znaczenie. Iż nawet śpiewana przy fortepianie piosenka, która, jak wszystkie piosnki, nic nie znaczy dla obcego ucha, dla tamtych ludzi posiada jakieś tajemnicze, uczuciowe znaczenie, niby odzew, po którym poznają się dusze. Ta siła sprawia, że na tej ziemi każdy ma swoje znaczenie, cel i potrzebę przez to, że jest. Nawet stary, nieporadny stryj Michał Rozlucki zda się niezbędnym, jak stary dąb spróchniały, bo korzeniami wrósł w ziemię i trzyma ją całą siłą swej nieruchliwości, by nie osunęła się z pod stóp. Nie pójdzie stryj Michał pracować na ugornej niwie, lecz stoi i stać będzie z wiarą, że ziemia ta, na której rośnie, pozostanie sobą, choćby ją starała się na swój sposób przeorać najmędrsza machina. Przez to, że tak mocno korzeniami w ziemię wrósł, pogarną się do starego dębu i ci, jak on osiedziali w ziemi, chłopi — i pogarnie się Piotr, gdy w duszy poczuje pierwsze szarpnięcie kłów tęsknoty.

Z temperamentu, z rozmachu młodej siły wykonywać będzie swą pracę Wiktor lub Kama. Bo taką jest ta nieznajoma Piotrowi siła, która i nieruchliwość starości i rozpęd młodości w łożysko jednego wspólnego sprowadzi potoku. Siła ta działa wszędzie i przez wszystko. Swych spraw dokonywa nawet przez konserwatyzm Michałów, przez religijność unickich chłopów.

Wkrótce pozna Piotr Rozlucki jedno z najtajniejszych, lecz razem najgłębszych źródlisk tej

---

Więc nie mówcie, że *polskość* ożyła w Rozluckim! Bo polskość ta żyje przecież w hr. Nastawie i w legjonie jemu podobnych: ta, rzekomo, przyrodzona, instynktowa, poczciwa polskość, której wytępić nie zdoła, jak utrzymujecie, ani miecz rosyjski, ani pruskie kagańcowe prawa. Ta sama polskość, która żyła w Bartku Zwycięzcy, zarówno jak dziś żyje w obywatelskim dworze państwa Ościeniów! Lecz patrzcie, patrzcie jak razem z nią nizko można upaść! Jak nizko, razem z nią, czołgać się można piersiami gada po plugawym brudzie!

Rozlucki wrócił między swoich,—powiadacie? Między swoich — — ? Między jakich ludzi? Między Nastawów, Ościeniów, czy między to krucze, zbójeckie bractwo, które ukamienować chce ks. Wolskiego za jego prawdziwie apostolską służbę? Dlaczegóż każde jego słowo, jak ostry dym pożaru, wgryza się im pod powieki? Wrócił między swoich? A może — raczej — tylko skrzyżował się z nimi w drodze swej i a chwilę? Może tylko w jednym momencie drogi ich przecięły się ze sobą tak, jak wicher, z mroźnej lecący pustyni, przenika czyjś dziedziniec, niosąc się w szeroki, kwitnący step?

Gdy uczucia ojczyźniane rodaków, przez Rozluckiego spotykanych, są tylko dzwonem pustym, w jego piersi o dzwon ów, uderza serce żywe: dzwon ów drga, tętni i, od łomotu serca, gromową huczy pieśnią. Gdy ich patryjotyzm jest jakąś istotą nijaką, szarą i bezimienną, on, jak wojownik zwycięzki, swego przywiązania do Polski wyliczyć może wszystkie imiona i tytuły, będące nazwą śmiertelnych, w obrębie ducha, stoczonych bitew: zerwanie związku z Tatjaną, zburzenie nadziei rodzinnego szczęścia, zrzeczenie się dostatku, wybór doli tułacza, oddanie sił na pracę, mającą podnieść kulturę ludzkości, dźwignąć losy kraju — oto, jak brzmią śpiżowe imiona jego narodowych uczuć! [*]).

Wokół niego zbierze się z czasem garstka pokrewnych mu ludzi, ks. Wolski, kapłan wyklęty, Bezmian zbieg z kopalń syberyjskich, może Darzewski, Wiktor Rozlucki i Kama, usiłujący światło i ulgę nieść uciemiężonej rzeszy, lub może owi zamknięci w twierdzy skazańcy, którym Piotr otworzył drzwi więzienia ale wszyscy oni od społeczeństwa rodzimego są dzisiaj odcięci przepaścią, jaka dzieli sytych niewolników — od ludzi bezdomnych.

*) Godzi się wspomnieć złote słowa Norwida:
*„Duchem ja idę przez ciała foremność,*
*Bo tylko względem światła bywa ciemność —*
*Lecz światło nie jest względnym cienia brakiem.*
*Nie-Rosjanin nie jest już przeto Polakiem,* i t. d.

siły. Bije ono z przeszłości — i ono to kształtuje twarze chłopów na modłę piastowską, ono dumą promieni się z postaci Ościeniówny, ono jest źródłem stałości stryja Michała.

Do tego źródła pochyli się Piotr, gdy przypadkiem wejrzy w zakazaną krynice wiedzy, czerpaną przez swawolną wałahę Kozdroja. A gdy z tej krynicy napoju zaczerpnie, już on w krew mu się przemieni.

Tajemnie, po nocy, przed sobą okrywając się ciemnicą pójdzie ku onemu źródlisku i pozna ten urok najgłębszy, bo i jemu, obcemu, wiadoma doń ścieżka. Wiedzie ona ku ojca zatraconej mogile. Jeszcze nie wie Piotr Rozłucki, iż wiele jest tych ścieżek i mnogość zapomnianych mogił. Że na tej ziemi dużo jest drzew, które z pozoru drzemią tylko na piaszczystych osypiskach, ale po nocach szumią pleśni o zapomnianym bohaterstwie, na konarach swych dźwigają stare krzyże męki ojców, gdy po nie zaniedbają przyjść, jak po swoją spuściznę, synowie... Nie wie Piotr, że po tych ścieżkach odwrotną drogą, od mogił ku synom, idą nakazy bohaterstwa, przykazania pracy i te moce, które razem wszystkich trzymają. W jedną tę noc dowiedział się, że gdy wedrzeć się miłością w łono tej ziemi, to na jej wiecznie bijącym sercu leżą — poległe ojca kości. Gdy poznał tę prawdę, z łoskotem kopyt w pustce nocy powiózł ją z sobą, posiadłszy już na zawsze.

Wtedy poznał do głębi urodę polskiego życia.

Pozostał odtąd pod jej władzą. Ona mu rozkazuje czynić wbrew swemu szczęściu, pomyślności, wbrew najżarliwszym chęciom serca. Zdumiewać się będzie później, gdy własnymi oczyma pozna pannę Małgorzatę, dlaczego dla niej, o nią walcząc, zdruzgotał swe szczęście, zabił Tatjanę. Indywidualnie, jako jednostki, dwie te kobiety nie mają wspólnej miary. A jednak — Rozłucki odepchnął Tatjanę, oddał w objęcia Roszowa; dla Małgorzaty głowę podstawił pod ciosy, usty swymi szepcąc do niej: siostro, siostro.

Uroda życia polskiego przynosi Rozłuckiemu wszystko, prócz szczęścia. Piotr pragnie *stać się* tym, czym z przyrodzenia swego *jest* np. kuzyn jego Wiktor. I aby temu zadaniu podołać, aby dostroić się do tej jeszcze przeciętnej, powszechnej miary, przebywać musi na każdym kroku kataklizmy najstraszliwsze.[1] Własnymi rękami zdusić musi swe szczęście, deptać je swymi stopami. Każda chwila wystawia go na najcięższe próby. Musi spodleć, lub zniweczyć wszystko co jego, by podołać zwyczajnemu obowiązkowi polaka. Tak dzieje się w bastjonie „Czarnyj Orioł".

Później ujrzymy go wyolbrzymiałego cierpieniami, wędrownika po świecie całym w ucieczce przed swym nieszczęściem. Lecz oto ujrzymy nad jego głową ostatni blask urody życia. Cokolwiek rozpocznie jako dzieło swoje, w jakimkolwiek kierunku rozpoczyna się genialna praca myśli: wszystko ziemi jego służy, wszystkiemu sprzyja ukochanie ziemi. Z tego ukochania, z przysięgi dokonanej w londyńskim parku powstała siła i wytrwała moc jego myśli, która zrodziła genialny wynalazek.

Z otchłani cierpienia i przez cierpienie ku szczytom — wiedzie droga Piotra Rozłuckiego.

*Jan Dąbrowski.*

[1]) Autor nie docenia, naszym zdaniem, dynamizmu zawartego w postaci Piotra. „Przeciętny" poziom polskości jest na drodze jego ewolucji etapem tylko, nie zaś granicą i celem. Poza tą granicą, otwierają się przed bohaterem „Urody życia" perspektywy niezmiernie dalekie „Przeciętna" polskość jest dlań raczej niebezpieczną pokusą, niż zadaniem. (*Przyp. Red.*).

---

Gdy Piotr Rozłucki, u wstępu do kraju, odwraca się od społeczeństwa żywych, aby wtajemniczenia w losy ojczyzny—i komunji z duszą jej szukać na mogile ojca, wyrok ten — zda się wyrok zatraty nad całym wyrzeczony pokoleniem — uderza w nas surowością i okrucieństwem, jak piorun strasznej, z grobu bijącej skargi. Jest w nim bogów gniew zakamieniały, ale i dziecięcy płacz, rozdzierający duszę. Rzekłbyś: w duszę swego ludu, w głąb jego sumienia, płacze serce poety; lecz każda łza, padając, zmienia się w przekleństwo, palące żarem piekieł, aby sumienia głuche dno — przepalić.

Później dopiero, stopniowo, tłomaczy się mściwa niechęć Żeromskiego do „narodowej elity" swego społeczeństwa. Karty jego książki, im dalej, tym posępniej mrocznieją odblciem gniewu jego, smutku, żalu i zniechęcenia: zda się, jakobyśmy karty te odwracali pod zachód słońca, które już nigdy nie zejdzie nad ziemią, wobec nadciągającej nocy tak ciemnej, że w niej utoną gwiazdy, a groby poczną świecić i wydadzą się — w tej okropnej ciemności — gwiazdami.

Powoli zabiera czytelnik znajomość z hr. Nastawą; i przestaje dziwić go smutek autora. Zapoznaje się z próżną, głupkowatą uniżonością dla artystokracji starego pana Ościenia: i zaczyna rozumieć gniew Żeromskiego. Gdy pod koniec drugiego tomu spotyka w salonach Paryża dawną znajomą swą z Podlasia, pannę Marzeńkę, za której cześć rąbał się z żołdakami Rozłucki, i spotyka ją, jako hr. Nastawową, całkiem już rozkoronowaną z uroku, to i gniew i smutek razem szarpią mu serce, i — żal: gniew, żal i smutek — Żeromskiego. A kiedy hr. Nastawa, szczęśliwy ojciec i małżonek, pragnąc przedstawić dwóch synów swych Rozłuckiemu, obu przyprowadza ku niemu, mówiąc, „Oto moi synowie", do nich zaś zwrócony, wygłasza uroczyście, wskazując Piotra: „Oto pan Rozłucki, który przed laty bronił z szablą w ręku honoru waszej mamy i poniósł za to rany na głowie i twarzy", czytelnik, usłyszawszy te słowa, razem z Piotrem doznaje uczucia wstrętu i głębokiego niesmaku. Doznaje niesmaku i pyta: jakto? więc Rozłucki, krusząc gmach swojej miłości i wyrębując szablą drogę do światła swojej duszy, bił się o honor czyjejś „mamy", i ta przejasna niegdyś dziewczyna, w której oczach lśnił, jak ekstaza młodości, poranek w rosach podlaskich skąpany, jest-że tą samą postacią, do której ucha w tej oto chwili z grzecznym a zimnym gestem schyla się Piotr, mówiąc:

— „Zrobiłem wówczas, gdyż tak wypadało. Nagrodą moją było zawsze poświadczenie, że mogłem mieć szczęście bronienia pani hrabiny".

Wszelako ponad wstręt i niesmak wybija się w nas uczucie fizycznego, wprost, bólu, gdy autor w towarzystwie Rozłuckiego wiedzie nas do wnę-

# Walka o duszę.

Każdy człowiek ma jedno przynajmniej prawo: które nie może mu być odjęte: prawo do swej duszy.
*Żeromski: Uroda Życia*

Pomiędzy krytyką zawodową a czującym i myślącym czytelnikiem panuje od lat wielu rozdźwięk w zapatrywaniach na Żeromskiego. Krytyka owa nie może się uporać z autorem, który treścią zawartą w utworach swego ducha rozsadza jej ramy, ignorując przyjęte przez nią kanoniczne formy, i gniewnie narzeka, że stężały w tych dziełach ból nie daje się ułożyć na prokrustowym łożu szkolarskich przepisów; powieść nie jest powieścią, tragiedja nie jest tragiedją.

Natomiast dla coraz szerszego koła czytelników każde nowe dzieło Żeromskiego staje się ważnym zjawiskiem społecznym. Instynktownie prawie czuje czytelnik, że w sercu Żeromskiego, jak w soczewce promienie słońca, skupiły się wszystkie bóle, łzy i krew umęczonego narodu; że dla upadających w nierównej walce, każdy jego głos jest ostrzeżeniem wcielonego w nim sumienia narodowego, że każdy nowy utwór, jest walką o niepodległość duszy polskiej, uwodzonej na manowce przez otaczające ją wraże siły.

Bezlitosny, twardy, do okrucieństwa wymagający jest Żeromski, nim w tyglu życiowego piekła wytopi czysty kryształ duszy polskiej z surowej rudy. Miłość, chleb, władzę, wszystkie radosne uśmiechy życia ludzi wolnych, szczęście osobiste i słoneczną urodę życia — każe poświęcić dla umęczonej, aż do boskości, nędzy polskiej. A wielkość tego bólu cuda czyni. Bo oto zruszczone dziecko polskie, wnuk jenerała mikolajewskiego i syn polskiego powstańca, wychowany w szkole kadetów, wrogo dla nas usposobiony, zetknął się tu na tej przesiąkłej krwią i bólem polskiej ziemi z życiem naszym. Urodził się wśród grobów polskich Piotr Rozłucki i do tych grobów podświadomie ciągnęła go jakaś siła nieprzeparta. Z grobu ojca, rozstrzelanego w powstaniu, syn począł odgarniać ziemię rękoma. „Rozsunął ją naprawo i nalewo, ni to czarne zwoje i fałdy zasłony. Tkliwe jego palce wynurzyły, wyczarowały z ziemi czaszkę potrzaskaną w kawałki, szczękę rozwartą. W bezwiedzy, w szlochach przypadł do tych kości ustami".

Przypadł piersią do rodzimej ziemi i zaczerpnął z niej cząstkę bólu, zaczerpnął smutek duszy polskiej lecz i dumę przynależności do rycerskich przodków, otoczonych nimbem dostojeństwa śmierci ofiarnej. I jak gdyby wessał odżywcze soki, powstał z ziemi już inny, Piotr Rozłucki odnalazł siebie. Poczuł w sobie moc duszy, ziemię i niebiosa ogarniającą, wyciągnął ku niebu potężne ręce i „rozwarł je ku pracy bezgranicznej". „Wydarł się ze wszystkich powrozów, wydźwignął ponad siebie, ponad życie i śmierć i uśmiech siły ducha utopił w niebańskim uśmiechu wieczności". Odtąd już go nie skusi nawet najpiękniejszy, najwytworniejszy powab życia: miłość, a z nią moc i władza: on rozumie że musi rozstać się z nią, lub rozstać ze sobą. Urodę życia ogólno-ziemską porzucił, bo jego uroda życia jest w kościele ducha.

I oto pójdzie od suto zastawionych stołów na głód i poniewierkę, pójdzie wybijać do wolności tunel, krok za krokiem, stopa za stopą, cal za calem, z matematyczną dokładnością i ściśle logicznem umiarkowaniem.

Mocom tego świata on, „człowiek nagi", przeciwstawi gorejący bezmiar miłości ku swemu narodowi, a gdy on i jemu podobni naprężą ramiona i dźwigną, to naród żyć pocznie.

I oto rodzą się nowi ludzie — bohaterzy i rodzi się wiara, że źródła święte tej ziemi polskiej nie wyschną nigdy, że żadne wrogie siły nie zdołają zawalić ich kamieniami, że samym kamienie dźwigać ręce ustaną! Że choć tu jest tak źle, jak nigdzie na ziemi, choć niema prawie czym żyć, choć trzeba przemycać pokarm dla duszy i coraz go mniej dla ciała, jednak wierzymy, że na wieki wieków będzie tu na tej ziemi rozlegała się mowa polska i pieśń polskiego chłopa, bo w jego duszy jest moc i siła trwania...

Jakiś hymn tytaniczny, siły i otuchy pełen, rozbrzmiewa z „Urody Życia", jakieś pełne wiary—

trza klasztoru jednego z krakowskich zakonów, i tam każe nam niemo uczestniczyć w wiarołomnym sądzie, jaki nad ks. Wolskim składają — przełożeni duchowni. Już nie oburzenie, nie wzgarda, ale ból chwyta czytelnika, na widok tej, obnażonej, jak gnijąca na ciele narodu rana, podłości. I gdy pomyślimy, że kler jest potęgą, która w ręce shańbionej dzierży klucz złoty od sumienia ludu, gdy pomyślimy że ów kler jest czarną na oczach ludu pleśnią, zakrywającą Boga, i, — że jest sprzysiężeniem i dzi, którzy na dno piekieł zstąpią po argumenty, aby wyobcować z pośród siebie jednego człowieka uczciwego, gdy jeden człowiek uczciwy pośród nich się zabłąka wówczas pojmujemy, że na ziemi niema trybunału, i w języku żywych niema słów, któreby napiętnować mogły taki ogrom zła i nikczemności. Jednocześnie instynktem samozachowania czujemy, że życie, tak okrutnie ciosem owej nikczemności pchnięte w samo serce, zachwiać się musi jak człowiek zamroczony bólem, i, z posady wstrząśnięte, z jękiem uderzy kędyś aż w głuchą ścianę śmierci: P i o t r  R o z ł u c k i  o p r z e  s i ę  o  t r u m n ę  o j c a ... [4])

Bezlitosny wyrok na czole pokolenia wyrył Żeromski tym odruchem życia, które, aby ocalić swą istotę, chwyta się rąk szkieletu i wspiera na trumnach. Od czasów *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego nikt na głowę społeczeństwa nie cisnął tak okrutnego wyroku. Tam rycerz z pod Grunwaldu, m o c  z m a r t w y c h w s t a ł a, uściskiem żelaznym miażdży kruchą dłoń dzisiejszości; tutaj — trup Rozłuckiego, obudzony z grobu jękiem syna, staje się rozkazodawcą — żywych.

Bez miary bezlitosny i okrutny — jest-że wyrok ów wyrokiem pesymizmu, zwątpienia, wyrokiem rozpaczy?

Pytania tego rodzaju rozlegają się już dokoła nowej powieści; gdy na jednym krańcu opinji su-

[4]) Śród świata żywych, Piotr doznaje niejakiego oparcia, w stryju Michale, z którym wiąże go krewność duchowa, oprócz pokrewieństwa fizycznego; wszelako Michał w stosunku do Piotra gra jedynie rolę drogowskazu, mającego kroki syna skierować ku mogile ojca, gdzie dokona się zasadniczy akt transsubstancjacji Piotra.

„contra spem spero", potężne — „sursum corda!" wypowiedziane niesłychaną dotąd polszczyzną, przypominającą rzeźbę antyczną: jest w niej spiżowa moc Herkulesa i zakrzepły ból Laookoona.

*Ignacy Mucha.*

## Bogowie łakną... krotochwili.

(Zamiast „Przeglądu Prasy"..

Nie krwi!.. Nie! To było niegdyś. To było dawno temu. Gust bogów się odmienia. Niegdyś łaknęli krwi Prometeuszów, rozbitych na skale, lub rozpiętych na krzyżu, kochali się w dymie pożarów, w rykach spiżu, w żelazie. Minęło.

Dziś ktoż wie? — Może karmią się mączką Nestla... Może pragnienie gaszą śmietanką sterylizowaną?

Widywano ich ongi w togach straszliwego majestatu. Widywano ich czasu Wielkiej Rewolucji w płaszczach czerwonych jak zorza, a może — któż wie? — jak łuna wulkanu? W płaszczach, o których barwie niepodobne było orzec, czy z krzyku ofiar mordowanych powstała, czy z gniewu mordujących?

Lecz dziś bogowie chadzają w szlafrokach, bowiem cenią wygodę i ciszę, a surduty biorą na się tylko wówczas, gdy idą do „Nowości", aby karykaturę swą zobaczyć w „Orfeuszu w piekle". Bogowie dzisiaj łakną krotochwili. Gdy jednak zapadnie zasłona nad areną śmiechu, a publiczność zrywa się do bufetu, o czym wówczas dumają bogowie? Czy o złowrogiej sile Fatum, które nad wolą ich ciężyło dawniej? Czy o muzie Offenbacha, która nad nimi zaciężyła teraz?

Nie. O czym innym rozmyślają bogowie. Jeżel wierzyć mamy *Słowu*, zainteresowania bogów są bardziej [redacted]

Bogowie, podczas antraktu w „Nowościach" pewnego wieczoru rozmyślali.. o aeroplanie Piotra Rozluckiego. Gdyby nie artykuł w N-rze [redacted] *Słowa*, nigdy zapewne nie znalibyśmy treści ich rozmyślań. Lecz *Słowo* znalazło klucz do duszy bogów. Deos fecit timor: — mawiali Rzymianie, czyli: bogów wytworzył Strach. Otóż, *Słowo*, język strachu znając doskonale, snadnie z bogami porozumieć się mogło.

— Jakiż cel ma ostatnia powieść Żeromskiego, ta szarpiąca nerwy, ponura powieść o okrutnym epilogu? — rozmyślali bogowie. — Pan Żeromski z odrazą i bólem patrzy na nędzę polskiego bytu, i marząc, aby wewnętrzna uroda jego plemienia dała początek nowej Anglji wschodu, rzuca społeczeństwu swemu kuszące wizje, których istotną treścią jest kwietyzm oczekiwania [redacted]

Jakto? Rozłucki, bohater powieści, symbolem kwietyzmu? Rozlucki—usprawiedliwieniem zastoju? Rozlucki, który ekstazą woli przemógł w sobie pragnienie łatwego życia, którego każdy krok był pięciem się pod górę; Rozlucki, który przebija tunel w opancerzonej twierdzy, aby zdobyć wolność dla siebie i dla innych, który wypowiada walkę krzywdzie, przecina sieci intryg, rozrywa pokrowiec obłudy, a w końcu ogień, powietrze i stal wprzęga w tryumfalny rydwan swego marzenia: — tenże to człowiek nas uczy kwietyzmu? Każda myśl jego drży, jak cięciwa łuku. Każdy rzut źrenicy jego oka jest pomiarem drogi, wyrębywanej do czynu. Zali czyn wielki, o którym śni jednostka, pogrążyć może w bezwładzie kogokolwiek? Zali dokonanie bohaterstwa zwalić się może ciężarem na czyjekolwiek ramiona? Czyż u granic wynalazku Piotra Rozluckiego zatrzyma się już ludzkość na wieki, jak u krańców ewolucji? Czyż laury Milcjadesa nie spędzały snu z powiek Temistokla, Aleksandra, Cezara, Warneńczyka, Napoleona? Czy genjusz Kopernika zagrodził drogę Galileuszom, Keplerom i Newtonom? Czy ów pożar ducha, który nad ludzkością rozpalają od wieku do wieku genjusze, jest najsłodszym baldachimem snu dla lenistwa miljonów?

I jeszcze jedno. Bohaterowie nie rodzą się na pustyni. Wielkie czyny, jak wielkie nieśmiertelne posągi, nie powstają z błota, a genjalne wynalazki nie tworzą się z piasku. Poprzedzać je musi, otaczać i wspierać praca głęboka, praca miljonów: składać się musi na nie wysiłek pokoleń. Kopernik jest dzieckiem złotego naszej kultury wieku. Fidjasz wyrósł nie w Beocji, lecz w Attyce. Wysokie podchmurne fale mogą się piętrzyć tylko z łona głębokich mórz. Wysokie duchy wykwitać mogą tylko z głębokich pokładów kultury. Ten więc, kto mówi Genjusz, kto mówi Bohater, tym samym domyślnie wyraża przykazanie pracy dla miljonów.

Podobnie, jak legjony zrosły się z imieniem Dąbrowskiego, ocalenie honoru upadającej Polski — z imieniem Kościuszki, tak przyszły zwrot w dziejach naszych Żeromski wiąże z imieniem jedynego człowieka, z mistycznym imieniem Piotra, który potężnym, cudownym gestja, optymizm usiłuje znieczulić sumienie narodu na słowo poety, u krańca przeciwległego temuż słowu wzbrania do sumienia równie płytka obawa pesymizmu, a zapobiegliwi lekarze duszy narodowej śpieszą uodpornić zatrwożonych ziomków przeciw niebezpiecznej książce. „Najczarniejszy pesymizm, — wołają — przesyca tę zaistę cudną powieść o bohaterze! Strzeżcie się obywatele jadu utajonego pod przepychem kwiecia!"

O, ludzie małoduszni!

Zali pesymizm może udźwignąć w ręce karzący miecz sprawiedliwości?

Czy zwątpienie i rozpacz chwyta za żelazo gorące, aby wypalić rany na ciele chorego?

W sądzie Żeromskiego nad społeczeństwem jest surowość nieubłagana, groźna, niesłychanie wymagająca, żelazna, — ale pesymizmu niema. Jest gniew, żal, smutek, — ale niema rozpaczy i niema zwątpienia.

Jest to owa właśnie surowość, która podnosi ramiona mdlejące w trudzie; ów gniew, który budzi ospałych; ów smutek twórczy, który bywa skrzydłami ludzi mocnych; ów wreszcie żal, z którego poprzez poznanie czynów minionych, rodzi się — i pogłębia — sumienie. Wszystkie uczucia, aż do bólu napięte, w poezji Żeromskiego, są strunami, hymn śpiewającymi — czynowi. Te struny, dźwięczne jak metal, zrobione są z włókien serca, więc krwią ociekają pod każdem uderzeniem. Lecz patrzcie! Z tej krwi, z tej męki serdecznej wykwita pieśń radosna, pieśń tak pełna słońca, jak młodość; tak twórcza jak młodość; pieśń godna — urody życia!

Potworne na jej drodze piętrzą się góry przeszkód. Składała się na nie nędza; budowała je wiekami przemoc, wznosiła ciemnota, więc, aby się przebić przez nie, aby je pokonać, czasami pieśń ta wzlata w górę, kołysząc się na niesłychanej wysokości, — i wtenczas świeci w niej i oddycha niepokalaność niebios, o które skrzydłami się otarła; a czasem pod ziemię się zapada, iść zmuszona otchłaniami mogił i z kośćmi umarłych bratać się w szlochu, w niewiedzy, w zapamiętaniu, — i wtenczas huczy w niej zgroza i wyje oślepiony żal.

wysiłkiem ramienia ruszy z posad zmartwiałą naszą—historję, sam jeden.

Tak! ale, aby wydać tego jednego człowieka, pracować muszą pokolenia. Aby ten człowiek jeden dokonać mógł swego dzieła, pracować musi — cały naród.

— Pesymizm!.. odpowiada na to *Słowo*.

Tak brzmi synteza powieści Żeromskiego, przełożona na język... strachu, który nie ma sił spojrzeć w oczy rzeczywistości. Bogowie — łakną krolochwili.

*J. Tarczewski.*

# Ziarnko maku.

(Ołówkiem na marginesie „Urody życia").

Pragnę mówić nie o pięknościach „Urody życia", ale o jej — z mojego punktu widzenia — brakach, raczej o jednym braku, o jednym że go tak (może zbyt bezwzględnie) nazwę: błędzie. Spieszę z góry jednak podkreślić, i to podkreślić z naciskiem, że całość uważam za *prawdę*, że czytając „Urodę życia" przeżywałem wrażenia głębokie i niezapomniane, że ostatnie dzieło Żeromskiego, przedstawiając okrutnie naszą wielką niedolę narodową, dźwięczy przecież bohaterskim tonem i śmieje się poprzez płacz wiarą w bohaterstwo polaków, co jest zapładnianiem duszy bezcennym nasieniem heroizmu. Więc gdy pokazuję plamy na słońcu „Urody życia", pewnie postępuję, jak owa zbłąkana królewna z bajki Andersena, której pod siedmiu puchowymi poduszkami gościnni gospodarze położyli jedno ziarnko maku, aby się przekonać czy ich gość istotnie jest królewną. Nazajutrz królewna dziękowała, uśmiechnięta, za gościnę, ale zarazem się skarżyła, że spała nieświetnie, bo w pościeli tkwiło coś niezmiernie twardego, co ją uwierało.

Pewnie tedy należę do, ach, królewskiego nieznośnego rodu kapryśników, skorom wyczuł pod siedmioma warstwami poezji Żeromskiego makowe ziarnko, jak ja to nazywam, błędu, i z królewską, och nieznośną! bezceremonialnością skarżę się, że ziarnko makowe mnie pije.

Lecz kiedy mnie pije, muszę je wydobyć. Zanurzam dłoń w dzieło i — oto uwierające mnie ziarnko, spojrzyjcie!

* * *

Rozłucki jest Rosjaninem polskiego pochodzenia. Wychowywał się w Rosji, w rosyjskim otoczeniu, w wierze prawosławnej i w wojskowej dyscyplinie.

Ma się za Rosjanina.

Przyjeżdża do Polski i tutaj wewnętrznie potwierdza swoją rosyjskość antypatją do Polaków, którzy masowo nie okazują życzliwości jego oficerskiemu mundurowi.

Połowa rodziny Rozłuckiego, prawie mu zresztą nieznanej, ma się za Polaków, druga połowa uważa się za R sjan.

Rozłucki pokochał Rosjankę, która nie cierpi Polaków.

Mija rok W Rozłuckim obudził się Polak.

* * *

Znamy całe mnóstwo Szulców, Müllerów, Majerów, których dziad, czy ojciec przybył za młodu do Polski, tutaj się osiedlił, spolszczył i jego dzieci uważają się za rdzennych Polaków. Obrażają się, gdy ich zagadnąć o ich cudzoziemskie pochodzenie! Są gorącymi patryjotami polskimi.

Jest to zupełnie naturalne. Patryotyzm to sprawa serca, nie krwi. Ojczyzna jest w sercu— powiedział Wyspiański. Ojczyzna to nie terytorjum geograficznie oznaczone, ojczyzna to ukochane przez nas uczucia, charaktery, ideały, niedole i prace! Ojczyzna to drogi nam lud, to naród, który kochamy za jego wewnętrzną piękność, to miejsca, na których ten naród mieszka, i które noszą widoczne dla nas ślady wspólnych naszych myśli, wysiłków i porywów. Rasowość się dziedziczy, ojczyzny — nie! Można być czerwonym patryotą rosyjskim, tętniąc niemiecką krwią w żyłach i mając przed nazwiskiem *von*. O przykłady nie trudno. Można się nazywać Szulc lub Müller i być dobrym Polakiem. Wnosi się tylko wówczas usposobienie germańskie, osobisty temperament inno-rasowy na terytorjum etnograficzne nowej ojazyzny, lecz nową ojczyznę kocha się serdecznie i w razie potrzeby oddaje się za nią życie.

Więc Rozłucki... W Rozłuckim nie potrzebuje się *budzić* Polak. Polak w nim nigdy nie zasypiał, jeżeli idzie o przyrodnicze dziedzictwo cech narodowego charakteru. Ale jeżeli idzie o polskość historyczną, polityczną, martyrologiczną, to tej polskości Rozłucki uczy się dopiero w dwudziestym którymś roku życia i nie w Petersburgu, lecz w Polsce, tej polskości przedtym nie znał, tę polskość dopiero poznaje i zaczyna kochać.

Tutaj, moim zdaniem, tkwi błąd „Urody Życia". Polityki nie można stawiać na gruncie darwinistycznym. Gdy Rosjanin Rozłucki zaczyna się czuć w dwudziestym którymś roku życia Polakiem, to nie dlatego zaczyna nim się czuć, że płynie w nim i Polska krew, ale dla tego, że pokochał duszą pełną prawości, prześladowany, piękny naród i narodowi temu sercem współczuje.

Więc wolałbym, aby w „Urodzie Życia" Rozłucki był rdzennym Rosjaninem. Rosjanin przyjechał do Polski, zobaczył i poznał piękny, dumny naród, ujrzał jak zbożne prace i prawe zamysły tego narodu obciążone są kajdanami twardych rozporządzeń, ujrzał sto bagnetów ostrzami opartych na piersiach jednego herosa, i stał się polskim patryotą. Nie atawistyczna skłonność, ale wolny wybór ojczyzny opromieniłyby w tym wypadku głowę Rosjanina Rozłuckiego aureolą niepospolitej wielkości.

* * *

Tak się przedstawia znalezione przeze mnie... makowe ziarnko błędu ostatniej powieści znakomitego pisarza. Opisałem je może zbyt zwięźle. Uczyniłem to wszakże dlatego, aby nie przeciążać artykułu argumentami, które zresztą na przeciągniętej przeze mnie linji rozumowania łatwo samodzielnie każdy może odnaleźć.

*Wacław Grubiński.*

*Przypisek Redakcji.* Pragnąc możliwie szeroko objąć klawiaturę wrażeń, jakimi twórczość Żeromskiego odbija się w duszach współczesnych, zamieściliśmy powyższy szkic „ołówkiem na marginesie", jakkolwiek nie podzielamy zdania jego autora. Trudno, mianowicie pojąć, co zyskałaby powieść wówczas, gdyby w Rozłuckim, miast polskiej, płynęła krew Rosjanina. Autor utrzymuje, że, w takim razie, „wolny wybór ojczyzny opromieniłby głowę Rosjanina Rozłuckiego aureolą niepospolitej wielkości", aureolą rzekomo szczytniejszą niż ta, która uka-

ła skronie Rozłuckiego—Polaka. Lecz jakież to uczucie pchnęłoby cudzoziemca w ramiona polskości?

Mamy nadzieję, że autor wypowie się w tej kwestji bardziej wyczerpująco.

# PROTEST.

**Wszczynanie walk religijnych i wskrzeszanie w XX stuleciu średniowiecznego fanatyzmu potępiamy, jako zbrodniczy zamach na zdrowy rozwój narodu i najcenniejsze zdobycze kultury.**

**Łączymy przeto nasze głosy w gorącym proteście przeciw nagance duchowieństwa na „Zaranie", a naszym wyklętym braciom z ludu ślemy wyrazy współczucia, otuchy i solidarności.**

6) (Ciąg dalszy podpisów)

Złożone zostały w red. „Nowego Kurjera Łódzkiego" z wyjątkiem kilkunastu *wszystkie należą do robotników.*

Z Łodzi: Bolesław Mierzwiński, Jan Wejncol, Piotr Guziak, B. Lisiak, W. Grabarczyk, S. Jakubowski, A Szymczak, P. Kilanowicz, A Janicki, K. Fabjanowski, I. Kubiak, F. Kubiak, A. Swandziak, T. Gibki, Leonard Śliwko, Bolesław Śliwka, Aniela Orlowska, Aleksander Orlowski, Apolonja Orłowska, Bronisława Piątek, Jan Bojanowski, Kazimierz Maciejewski, Ludwik Maciejewski, Alfons Koplin, Konstanty Koplin, Wincenty Grzelecki, Bronisława Strzelecka, Józef Jerzmanowski, Franciszek Jeżnitkowski, Marek Lech, Józef Gruchold, Stefan Płonka, Józef Woloski, Franciszek Widera, Jan Krul, Ignacy Lorek, Ignacy Płonka, Władysław Muszyński, Antoni Stawierski, Józef Chmielewski, J·n Stanek, Jan Wójcik, Jan Bocianowski, Anna Lenartowska, Julja Lenartowska, Karol Doczkal, Ignacy Buda, Berta Grabowska, Teodor Odenbach, Jan Krzemiński, Józefa Krzemińska, Walenty Matys, Stanisław Pawłowski, Juljan Grzelak, Anna Wierszew, Walenty Ostrowski, Stanisław Matyjak, Antoni Walczak, Michalina Pawłowska, Józef Głodzik, M. Pola, Reinhold Szen, Józef Burchardt, Roch Żądło, Wincenty Wójcik, Franciszek Kosmala, Edmunda Czarnolezka, W. Bulkiewicz, I. Gruszka, I. Orłoś, S. Świątek, Józef Pluciński, Franciszek Stefański, I. Politullo, Gumowski, Walenty Funkiewicz, L. Pliszka, Władysław Gębalski, Leonard Jankowski, Michał Firaś, Józef Gębalski, Michał Różycki, Wojciech Adamusiak, Antoni Barzyński, Władysław Byszynger, Karol Byssynger, Władysław Różycki, Antoni Szewczak, Antoni Czyżewski, Władysław Nowakowski, Jan Kurpiński, Ignacy Jeżyński, J. Hertel, Stefan Joachimcz.k, St. Różalski, W. Nożownik, Antoni Maciejewski, Wawrzeniec Janiak, Marcin Marcinkowski, Izydor Urbankiewicz, Stanisław Bolchowicz, Franciszek Oswald, Jezefa Oswald, Stefan Piasecki, Stefan Wojciechowski, Aleksander Oświeciński, Józef Szynkielewski, Józef Steller, Marcin Steller, Walenty Jaworski, Jan Matyjaszczyk, Piotr Zibiert, G. Dobrzyński, Wilhelm Sokołowski, Michał Kołodziejczyk, Antoni Kaczmarek, Antoni Kubiak, Konstanty Dąbrowski, Stanisław Nagielski, Marceli Podstawka, Michał Mielczarek, Ludwik Rogowski, Józef Bystrzycki, Jakubowski, Władysław Olszacki, Stanisława Olszacka, Franciszek Marcinkowski, Franciszek Tomaszewski, Stanisława Tomaszewska, Gustaw Henius, Gustąw Szalm, Henryk Świderski, Bronisława Świderska, Stanisław Jatczak, Wacław Jastro, M. Michalak, F. Więckowski, M. Więckowska, A. Marczyk, W. Guzlak, K. Guzlak, S. Lewandowska, I. Lewandowski, A. Lewandowska, A. Włodarczyk, F. Włodarczyk, H. Włodarczyk, A. Krysiak, K Gorbinek, S. Lewandowski, I. Stanisławski, I. Taborek, Z. Jaśkiewicz, Juljan Radke, I. Macie.ewski, J. Malinowski, Konstanty Trojanowski, Stanisław Pyaz, Michał Adamala, Jan Jezierski, Bolesław Ressel, Aleksander Darnych, Alfons Szymański, Józef Ressel, Zenon Strzelecki, S. Markiewicz, Edward Przybylski, Adam Górski, Michał Kossakowski, F. Bajerski, S. Kubiak, Michał Renc, Agnieszka Renc, Alfreda Walczak, Ignacy Leszowski, Walenty Miedziński, Antoni Rydlewski, Józef Kotko, Michał Dąbrowski, A. Lewandowski, Stanisław Krassowski, Stefan Borowski, Bronisław Królikiewicz, Leon Kielkiewicz, W. Cywiński, Aleksander Leśniewski, Jan Zasada, Kazimierz Chrzanowski, Walenty Kondratko, Piotr Ziemba, Michał Marczewski, Paweł Zelinek, Leonard Libisch, W. Przybył, Franciszek Walczak, Józef Skotnicki, Konstanty Modrzejewski, W. Słowikowski, F. Wąsik, Marja Masłowska. Ludwik Krall, Teodor Dziuba, F. Buchner, K. Przybył, S. Danecki, I. Odroski, A. Klocek, M Matyjaszewski, W. Wrobel, Stanisław Kaźmierczak, Monika Kurpińska, Wacław Lisiecki, Helena Lisiecka, Antoni Śniady, Stanisław Rachoski, Mikołaj Dzióba, Paweł Marczeski, Franciszek Kalóżny, Józef Przepiórkowski, Walenty Nowak, Rudolf Herszel, ·Józef Bosik, Paweł Pasikowski, Franciszek Pyfca, Jan Pliszka, Teodor Gajda, Józef Sobczak, Józef Miszczak, A. Fialkowska.

Z Radomia: A. Ninke, Z. Szwacki, A. Szczepaniak D-r I. Pełczyński, E. Adamski, D-r H Fidler, J Piotrowski, Stanisław Figurski, Kisiołewski, Bolesław Podlewski, M Borowski, Marjan Podgórski, L. Markowski, St Okoniewski, St. Zardecki, Ig. Domański, Wł. Roguski, D-r K Mulierówna, H. Kondratowicz, Kazimierz Moryciński.

Z Milejowa, Lub gub.: Edmund Owidzki, Władysław Westwalewicz, Józef Wislocki, Konstanty Jurkowski, Apolinary Frydryszak, Józef Tracz, Szczepan Kokoszka, Józef Mucha, Jan Marczak.

Stanisław Żurowicz, Stanisław Baczewski, Franciszek Czajkowski, Jan Baranowski, Władysław Olizarowski, Tomasz Paluch, Ludwik Kłosowicz, Piotr Dziechciowski, Wieńczysław Popławski.

Lucjan Iżycki, T Fabjanowski, Robert Kujawski, Stanisław Hoffman, Tomasz Barzycki, Michał Korga, L. Więckowski, Stanisław Rottau, W. Homka, Stanisław Siegieda.

Z Lublina: Kazimierz Brzeziński, Wiktor Smoleński, Wojciech Gładecki, Helena Płoszyńska, Helena Gla- [illegible]

Aleksander Pryliński z Annopola, Marja Lisowska i Stefan Lisowski z Dubna, Zofja Konstantynowiczówna z Szydłowca.

Roman Fiedorowicz, nauczyciel ludowy z pod Mińska Mazowieckiego.

Al. Bachnicka, Stanisław Bachnicki, Wacław Dzięciołowski, P. Filipowicz, St. Węgierski, Dzięciołowska, Wanda Bacharcka, Jadwiga Lutyńska, Marja Studzińska.

Michał Mazur, A. Szybkowski, W. Polecz, Stanisław Purwin, Juljan Sobczak, Juljan Ciok, Władysław Feter, Józef Sereda, Jan Bronowski, Józef Kowalski, Potajowicz, Albin Walentowicz, Stanisław Karczma·ski, Władysław Rybicki, Bolesław Nowicki, Jan Ruśnicz, Jan Poremebski, Piotr Szczególski, Józef Paprota, Walerja Mazur, Jan Gutowski, Władysław Budynkiewicz.

Piotr Ryczek, Anna Krawczyńska, Jan Ryczek, Franciszka Ryczkowa, Jan Denis, Franciszek Denis, Kamila Denis, Antoni Denis, Aleksander Kluk, Józef Kluk, Leokadja Kreys, Władysław Witkowski, E. Chelebart.

---

**Prenumerata „Prawdy"**

wraz z bezpłatnym dodatk:

**W Warszawie:** miesięcz. kop. 70, kwartał. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

**z przesyłką poczt.** do wszyst[illegible]

**Za zmianę adresu** dopłaca [illegible]

**Redaktor przyjmuje** intere[illegible] prócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośred[illegible] nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaco[illegible] nie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują** administracja [illegible] wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** [illegible]

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

---




Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego Warszawa Śto Krzyska 11.